

P I S M A W Y B R A N E

Jerzy

Ł O J E K

WIEK XIX



universitas

**P I S M A W Y B R A N E**

**WIEK XIX**



Jerzy  
**ŁOJEK**  
P I S M A W Y B R A N E  
**WIEK XIX**

**Wybór, opracowanie i wstęp**  
**MAREK KORNAT**

**Kraków**

---

Dofinansowano ze środków  
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**



**NARODOWY  
PROGRAM  
ROZWOJU  
CZYTELNICTWA**

© Copyright by Jerzy Mamontowicz and Irena Zofia Kazimierczuk

© Copyright for this edition by Towarzystwo Autorów i Wydawców  
Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2015

ISBN 97883-242-2589-7  
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne  
*Magdalena Kusak*

Projekt okładki i stron tytułowych  
*Ewa Gray*

---

[www.universitas.com.pl](http://www.universitas.com.pl)

# SPIS TREŚCI

Marek Kornat	
O STUDIACH JERZEGO ŁOJKA NAD EPOKĄ POROZBIOROWĄ .....	7
STUDIA .....	29
I. Szanse powstania listopadowego .....	31
Od Autora .....	33
[Szanse powstania listopadowego] .....	35
Posłowie do drugiego wydania .....	168
II. Opinia publiczna w Królestwie Polskim 1815–1830 ....	175
Studia nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim (1815–1830) .....	177
I. Teorie społecznej i politycznej roli prasy w czasach Królestwa Kongresowego .....	179
II. Produkcja i czytelnictwo prasy w Królestwie Polskim .....	217
Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego ...	275
Przedmowa .....	277
Wstęp .....	280
Część pierwsza. Rok dekabrystów .....	323
Część druga. Wojna rosyjsko-turecka i sąd sejmowy (1827–1829) .....	363
Część trzecia. Rok 1830 .....	419
ARTYKUŁY, ROZWAŻANIA, RECENZJE .....	461
I. Powstanie listopadowe – zaprzepaszczone szanse .....	463
Konspiracje a wybuch powstania listopadowego .....	465
Utrata nadziei: ku powstaniu listopadowemu .....	475
Człowiek, który rozpoczął powstanie listopadowe .....	491
Znaczenie aktu detronizacyjnego z 25 stycznia 1831 roku ...	495

Radca stanu Koźmian a powstanie listopadowe . . . . .	510
Chopin strategii . . . . .	517
Gdyby nie Skrzynecki... . . . .	525
Prawdziwy koniec świata szwoleżerów . . . . .	534
1830. Nadzieje i alternatywy. W 150. rocznicę powstania listopadowego . . . . .	540
Tragiczny początek powstania listopadowego . . . . .	549
Jeszcze nie synteza . . . . .	559
Stu piętnastu generałów . . . . .	566
Między powstaniami. Z doc. dr. hab. Jerzym Łojkiem rozmawia Jacek Żakowski . . . . .	575
II. Bić się czy nie bić? . . . . .	583
Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej: 1795–1917 . . . . .	585
Apoteoza quislingizmu . . . . .	630
Idea niepodległości w okresie zaborów . . . . .	642
Praca organiczna na cenzurowanym . . . . .	654
Może jednak się bić? . . . . .	658
III. Szkice z doby porozbiorowej . . . . .	663
Napoleon ciągle żywy? . . . . .	665
Napoleon a Rosja, czyli marzenia historyka o zgodnym podziale świata między dwóch mocarzy . . . . .	668
Kołątaj wzniosły i bez skazy . . . . .	681
Tadeusza Kościuszki droga do rangi bohatera narodowego . . . . .	691
Na pewno większy... . . . .	700
Szpiegowskie kariery: Mackrottowie . . . . .	707
Z życia biurokratów warszawskich 1807–1831 . . . . .	715
Marzenia „Czerwonego hrabiego” . . . . .	719
Kraszewski – dzisiaj: jaka jesteś klasyko? . . . . .	726
Józef Ignacy Kraszewski . . . . .	733
Józef Bem w oczach Wacława Gąsiorowskiego . . . . .	739
Dziedzictwo dobre i niedobre . . . . .	752
ANEKS (DWAJ MISTRZOWIE) . . . . .	759
Askenazy i jego <i>Książę Józef</i> . . . . .	761
Życie i działalność naukowa Emila Kipy 1886–1958 . . . . .	771
NOTA EDYTORSKA . . . . .	785
INDEKS NAZWISK . . . . .	787

**Marek Kornat**

## **O studiach Jerzego Łojka nad epoką porozbiorową**

Nie całe XIX stulecie było przedmiotem studiów i rozważań Jerzego Łojka. Jako osiemnastowiecznik, wkroczył on w problematykę dziejów porozbiorowych Polski, skupiając się zasadniczo na rozmaitych sprawach obejmujących 36 lat, jakie upływały od zagłady państwa do klęski powstania listopadowego (1795–1831). Problemy z okresu po 1831 roku podejmował jedynie incydentalnie i wyłącznie piórem publicyisty. Spojrzeniem obejmował przede wszystkim piętnastoletnie dzieje autonomicznego Królestwa Polskiego. Stworzone uchwałami kongresu wiedeńskiego, połączone wieczystą unią dynastyczną z Rosją, wyposażone w konstytucję – stało się ono niezmiernie interesującym doświadczeniem z punktu widzenia dziejów polskiego parlamentaryzmu i procesów kształtowania opinii publicznej. W roku 1966 Łojek opublikował w PWN rozprawę *Studia nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim 1815–1830*, którą zapoczątkował swe trwające 20 lat poszukiwania badawcze nad epoką porozbiorową.

Z największym rezonansem – nie tylko w społeczności zawodowych historyków – spotkały się *Szanse powstania listopadowego*. Książeczkę tę – będącą przykładem publicystyki wysokiej próby – wydał



Jerzy Łojek w grudniu 1966 roku nakładem Instytutu Wydawniczego PAX. Czternaście lat później nastąpiło wznowienie dziełka (1980) staraniem Państwowego Instytutu Wydawniczego – a kolejne sześć lat później, w roku 1986, wydanie trzecie, ostatnie jak dotychczas, nieróżniące się niczym od drugiego, z roku 1980. Można powiedzieć, że *pars pro toto* ta właśnie książeczka zapewnia jej autorowi miejsce w świadomości historycznej szerszych kół społeczeństwa.

Autor wystąpił ze śmiałą tezą – dowodził, że klęska powstania listopadowego stała się rezultatem wielkich błędów, których można było uniknąć. Jednym słowem powstanie mogło dać Polakom zmianę ich narodowego położenia. Rosję można było pokonać.

Przede wszystkim Łojek zwracał się polemicznie przeciw tezie o niewzruszonej solidarności trzech mocarstw zaborczych jako zainteresowanych udaremnieniem wybicia się Polski do niepodległości. Położenie sprawy polskiej wiosną 1831 roku postrzegał dużo bardziej optymistycznie niż dotychczasowa historiografia polska.

Za trudność nie do przewyciężenia w roku 1831 – pisał – uważa się zazwyczaj rzekomą solidarność państw Świętego Przymierza w sprawach polskich; istnieje przekonanie, że utworzenie niepodległego państwa polskiego było wówczas niemożliwe z powodu nieuchronności zbrojnego wystąpienia Prus i Austrii przeciwko powstaniu, gdyby Rosja nie mogła sama dać sobie z nim rady.

Trudno o rozumowanie bardziej naiwne i dalsze od realizmu historycznego. Rzekoma solidarność trzech państw rozbiorowych była bardzo cieniutką zewnętrzną warstewką, ukrywającą daleko idące rozbieżności i konflikty. Zwłaszcza między Austrią i Rosją istniały poważne zadrażnienia.

Łojek utrzymywał, iż:

Solidarność austriacko-prusko-rosyjska mogła się realizować tylko w sytuacjach, gdy chodziło o mniej więcej jednakowe zagrożenie interesów wszystkich trzech państw. Sprawa polskiej niepodległości akurat takiej sytuacji nie tworzyła. Nawet utrata ziem posiadanych od 1772 czy 1795 roku nie była w roku 1831 groźbą jednakowo niebezpieczną dla Petersburga, Berlina i Wiednia. Rzeczą Warszawy było zresztą dzielić quasi-sprzymierzeńców, zwracając się wyraźnie tylko przeciw jednemu z nich, to znaczy przeciw carowi. W tym zakresie polska polityka zagraniczna, aczkolwiek bezsilna wskutek braku

oparcia o wyraźne zwycięstwa na froncie, odnosiła przez prawie cały czas powstania dość wyraźne sukcesy. Jak wiadomo, ani Austria, ani Prusy, mimo szykan pogranicznych utrudniających trochę życie Rządowi Narodowemu w Warszawie, zbrojnie przeciwko powstaniu nie wystąpiły i nawet się do takiego wystąpienia nie gotowały<sup>1</sup>.

Powtarzał więc Łojek za Józefem Dutkiewiczem:

O ile rewolucja lipcowa podziiałała jednocześnie na dwory północne [...] powstanie [polskie] wbrew pozorom nie cementowało trójprzymierza trzech rozbiorców. Przeciwnie, oddalało i uniemożliwiała ich ściślejszą współpracę. Jest to pozornie paradoks, a jednak istotnie odnowienie świętego przymierza zostało zaniechane na skutek powstania<sup>2</sup>.

Autor *Szans powstania listopadowego* apelował, aby „poglądy Wiednia, Berlina czy nawet Petersburga” przestać pojmować

jako monolit, jako jednolitą przez dziesiątki lat, powszechnie tam przyjętą i niewzruszoną zasadę zwalczania wszelkimi siłami zawsze i wszędzie wszystkich polskich aspiracji niepodległościowych. Jest to źródłem poważnych błędów i niewłaściwego rozumienia wielu sytuacji w polityce międzynarodowej końca XVIII i trzech ćwierci XIX wieku. O ile jest bowiem oczywiste, że w **oficjalnej** polityce państw rozbiorowych dominowały tendencje antypolskie, to nie można jednak lekceważyć faktu, że w wielu momentach, przede wszystkim ze względu na wewnętrzną sytuację polityczną tych państw, dochodziły do głosu poglądy i programy sprawie polskiej przyjazne. Umiejętne ich wykorzystanie było już zadaniem Polaków. Oczywiście, w roku 1831 natężenie tych polskich tendencji w Wiedniu, a nawet w Berlinie, było bezpośrednio zależne od polskich sukcesów wojennych; w miarę powstańczego powodzenia na froncie zmniejszyło się prawdopodobieństwo czynnego poparcia Rosji przez Austrię lub Prusy, rosły w tych krajach siły zwolenników ewentualnego porozumienia z Polską<sup>3</sup>.

<sup>1</sup> J. Łojek, *Szanse powstania listopadowego*, Warszawa 1980. W niniejszym tomie – zob. s. 116.

<sup>2</sup> J. Dutkiewicz, *Francja a Polska w 1831 r.*, Łódź 1950, s. 38.

<sup>3</sup> J. Łojek, *Szanse powstania listopadowego*, s. 117 (niniejszego wydania).

Trzeba się zgodzić z tezą, iż od polskich sukcesów militarnych uzależniony był stosunek sił zewnętrznych do sprawy polskiej. Wszelako założenie o możliwości zdobycia przychylności rządów w Wiedniu i Berlinie dla polskich dążeń do niepodległości nie może nie rodzić wątpliwości. Klemens Metternich istotnie pragnął osłabienia Rosji za sprawą polskiego buntu, ale nie mógł nie liczyć się z tym, że niezawisłe państwo polskie wcześniej czy później upomniałoby się o Galicję. Strach przed takim obrotem wydarzeń nie mniejszy był w Prusach, bo przecież rozbiorowe zdobycze kosztem Polski były podstawą terytorialną tego państwa.

Główną winą za klęskę obarczył autor *Szans powstania listopadowego* naczelne dowództwo polskiej armii – przede wszystkim wskazywał na brak decyzji operacyjnych i kalkulacje na jakiś rodzaj ugody z Rosją, a zwłaszcza brak wiary w to, że imperium temu można ożyć stawić czoła.

Łojek polemizował z tezą, iż „żaden naród w świecie nie uzyskał w XIX wieku niepodległości własnym wysiłkiem», a więc i »Polska wybić się na niepodległość« w ogóle nie mogła”. Dowodził, że udało się to krajom Ameryki Łacińskiej, „a w Europie na przykład w Grecji i Belgii, których byt niepodległy zagwarantowany został układami międzynarodowymi po wywalczeniu wolności przez społeczeństwa tych krajów głównie własnym wysiłkiem”. Jego zdaniem także argument, iż

przeciwnicy niepodległości tych krajów byli znacznie słabsi niż trzy otaczające Polskę mocarstwa rozbiorowe, traci walor po przypomnieniu, że społeczeństwo polskie znajdowało się ówczesnie w sytuacji wyjątkowej i posiadało potencjał nieporównywalny z żadnym innym wśród narodów pozbawionych w Europie niezależnego bytu państwowego. W historii świata jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym, iż naród liczący w sumie około 20 milionów, mający 800-letnią tradycję nieprzerwanego bytu państwowego, a 300-letnią tradycję mocarstwową, naród w zwartym osiedleniu dominujący etnicznie na obszarze ponad 300 tysięcy km<sup>2</sup>, którego klasy oświecone i uprzywilejowane kontrolowały obszar około 700 tysięcy km<sup>2</sup> – został nagle, w ciągu 23 lat (1772–1795), pozbawiony w ogóle własnego państwa, a przez 123 lata (1795–1918) państwa tego nie mógł odzyskać<sup>4</sup>.

<sup>4</sup> Tamże, s. 170.

Sąd tak kategoryczny – dodajmy – staje w silnej opozycji nie tylko do poglądów tych historyków doby porozbiorowej, których krytycyzm wobec insurekcyjnego patriotyzmu pozostawał znany, ale też w stosunku do opinii Henryka Wereszyckiego, który powtarzał, iż żaden z narodów ujarzmionych w Europie doby systemu wiedeńskiego o własnych siłach nie zdobył niepodległości. Możliwe to było wówczas, kiedy nastąpiło poparcie któregoś z mocarstw albo wszystkich mocarstw tworzących „pentarchię europejską”. Wereszycki pisał:

Polska była w niewoli trzech państw, i to w wieku XIX potęg na kontynencie przeważających. W realiach określonych w roku 1815 nie istniało tak potężne militarne państwo, które by mogło pokonać nie tylko trzy, ale nawet dwa z tych mocarstw. I to była zasadnicza słabość sprawy polskiej<sup>5</sup>.

Przypominał też:

W zasadzie każdy z narodów walczących o wolność, jak Grecy, Włosi, Rumuni czy Węgrzy, miał tylko jednego głównego wroga i dzięki temu istniała możliwość, że prędzej czy później któreś z mocarstw za nim się ujmie i da realną, bo wojenną pomoc. Po prawdzie żaden naród nie miał takiego sprzymierzeńca, który by pragnął pełnej jego niepodległości, ale istotny był fakt, że ów sprzymierzeniec miał realny interes w pokonaniu ciemniźcycla<sup>6</sup>.

Niezależnie od dyskusyjnego stanowiska w sporze o międzynarodowe szanse polskich aspiracji wolnościowych autor *Szans powstania listopadowego* słusznie nie wahał się podnosić, że w insurekcję, którą jej współcześni nazywali „rewolucją listopadową”, zaangażowana została jedynie ograniczona część polskiego „narodu politycznego”, przy dużej bierności większości warstw oświeconych i klas uprzywilejowanych. Znaczna część tych sił „niepodległości zupełnie nie pragnęła, obawiając się społecznych i politycznych jej skutków dla swojej pozycji socjalnej i roli dziejowej”<sup>7</sup>.

<sup>5</sup> H. Wereszycki, *Sprawa polska*, w: *Polska XIX wieku. Państwo – społeczeństwo – kultura*, red. S. Kieniewicz, seria „Konfrontacje historyczne”, Warszawa 1982, s. 161.

<sup>6</sup> Tamże.

<sup>7</sup> J. Łojek, *Szans powstania listopadowego*, s. 170 (niniejszego wydania).

Komentarze wokół *Szans powstania listopadowego* były wyjątkowo liczne – trudno byłoby wskazać inną pozycję powojennej historiografii polskiej, która wywołała ich tak wiele. Leszek Moczulski rozważał tezy książki w „Stolicy” (48/1967). Historyk wojskowości, przedwojenny oficer Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i badacz sojuszu polsko-francuskiego, pułkownik Jan Ciałowicz, poświęcił pracy Łojka obszernie rozważania w krakowskim kwartalniku „Studia Historyczne”. Jerzy Skowronek pisał w warszawskim tygodniku „Kultura” (8/1967). Władysław Zajewski odniósł się do poglądów Łojka w „Przeglądzie Historycznym” (3/1967). *Last but not least* Józef Dutkiewicz napisał bardzo krytyczne omówienie w „Kwartalniku Historycznym” (1/1968). Kierowany przez tego ostatniego Zespół Powstania Listopadowego przy Instytucie Historii PAN zorganizował dużą dyskusję nad *Szansami powstania listopadowego* 6 marca 1967 roku.

Jan Ciałowicz, przedwojenny oficer Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych i późniejszy autor świetnej monografii sojuszu polsko-francuskiego (1921–1939), przyznał, że powstanie listopadowe to fenomen „stający przed coraz to nowym sądem historii”<sup>8</sup>. Obszernie rozważając tezy Łojka, dowodził, iż jego praca nie została „oparta na nowych źródłach dyplomatycznych bądź wojskowych”. Dostrzegł „namiętny styl” autora „à la Mochnacki”<sup>9</sup>. Kiedy się czyta książkę – pisał – „wszystko wydaje się »proste i jasne«”<sup>10</sup>. Nie zgadzając się z wnioskami autora *Szans powstania listopadowego*, powtórzył Ciałowicz pesymistyczną konkluzję Wacława Tokarza:

Powstanie listopadowe, rozpoczęte dzięki mocno przypadkowemu zbiegowi okoliczności, wśród położenia międzynarodowego, które nie rokowało Polsce większej nadziei na pomoc z zewnątrz w czasie gotowości wojskowej Rosji do interwencji na zachodzie, miało już w swym założeniu mało widoków powodzenia<sup>11</sup>.

<sup>8</sup> Ciałowicz cytował własny esej z „Tygodnika Powszechnego”: *Powstanie Listopadowe ponownie przed sądem historii* (nr 49, 4 grudnia 1960).

<sup>9</sup> J. Ciałowicz, *Militarne i polityczne szanse powstania listopadowego*, „Studia Historyczne” (Kraków) 1967, z. 3–4, s. 141.

<sup>10</sup> Tamże, s. 151.

<sup>11</sup> Tamże, s. 156. Ciałowicz cytował rozdział pióra W. Tokarza z międzywojennej syntezy: *Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych do dzisiaj*, red. A. Brückner i in., t. 3: *Od 1796 do 1930*, Warszawa [1932], s. 191.

Władysław Zajewski, zabierając głos na łamach „Przeglądu Historycznego”, pytał za Łojkiem: „czy powstanie listopadowe miało szanse?”. Odpowiadając, zastrzegł się:

historyk uchyla się w tym miejscu od odpowiedzi, gdyż musiałby snuć rozważania o wypadkach, które nigdy nie zaistniały. Publicysta mógłby nieco odważniej napisać, a historyk bardzo ostrożnie sprecyzować, że minimalne były szanse po zwycięskiej naszej wiosennej ofensywie, gdyby Skrzynecki działał ofensywnie jak mu to doradzał ks. Adam Czartoryski w korespondencji i osobistych rozmowach, choć nigdy nie dość energicznie. Sprawa polska mogła się znaleźć na londyńskiej konferencji pięciu mocarstw, podobnie jak sprawa Belgii. To był jednak promyk nadziei w tej, na ogół ponurej dla Polski, konstelacji międzynarodowej... Ale są to już tematy, jak pisze gen. Dembiński, należące zwykle do poezji<sup>12</sup>.

Józef Dutkiewicz wytknął autorowi *Szans*, iż nie jest ściśle twierdzenie, jakoby Prusy i Austria nie interweniowały w razie powodzenia polskiej armii powstańczej, bo były słabe<sup>13</sup>. Zajął jedynie stanowisko wyczekujące, gdyż w Petersburgu pomocy takiej – w walce z polskimi *miateżnikami* – sobie po prostu nie życzone. Przyznał jednak za Łojkiem, iż powstanie listopadowe miało największe szanse ze wszystkich powstań. Nie godził się natomiast z jego przekonaniem, iż olbrzymia większość „uświadomionej i aktywnej patriotycznie szlachty” opowiadała się za walką o niepodległość. Do spisków przedpowstańczych należała tylko minimalna liczba przedstawicieli tego stanu. Za słuszny uważał sąd autora *Szans*, iż błędem było oddanie przez młodych spiskowców i twórców wypadków z 29 listopada 1830 roku losów powstania w ręce „ludzi starszego pokolenia”<sup>14</sup>. Tyle tylko, że o tym wiadomo już od czasów Maurycego Mochnackiego i jego pomnikowej rozprawy.

W dyskusji, jaką wywołała książka, przeważała krytyczna ocena głównych tez *Szans powstania listopadowego*.

W posłowie do drugiego wydania książki Łojek raz jeszcze zwrócił się polemicznie przeciw swym krytykom, usiłującym

<sup>12</sup> W. Zajewski (rec.), „Przegląd Historyczny” 1967, z. 3, s. 559.

<sup>13</sup> J. Dutkiewicz (rec.), „Kwartalnik Historyczny” 1968, z. 1, s. 183.

<sup>14</sup> Tamże.

zgrupować wszelkie możliwe argumenty dla przekonania czytelników, iż nie tylko wojna polsko-rosyjska musiała się skończyć klęską militarną powstania w Królestwie i na Litwie, ale że w ogóle w XIX wieku społeczeństwo polskie nie miało żadnych szans „wybicia się na niepodległość” z powodu niezmiennej rzekomo, trwałej i fundamentalnej solidarności trzech mocarstw rozbiorowych, zdecydowanych podobno zawsze i za wszelką cenę utrzymać ziemie dawnej Rzeczypospolitej w sytuacji stworzonej przez kongres wiedeński 1815 roku. Polemiści starali się dowieść słabości sił polskich, wyolbrzymić natomiast potęgę mikołajowskiej Rosji, zdjąć z wszystkich środowisk polskich jakąkolwiek odpowiedzialność za klęskę powstania, przypisać natomiast tę klęskę wyłącznie dysproporcji sił militarnych między Polską a Rosją, nade wszystko zaś ogólnej, rzekomo niesprzyjającej sprawie polskiej, sytuacji w Europie<sup>15</sup>.

Komentując rozważania swych krytyków, Łojek wyraził zdziwienie, iż nie odnoszono się do jego wiodącej tezy, że

ostateczna klęska powstania była realizacją intencji i zamysłów tych sił społecznych i politycznych w Królestwie Polskim, które wskutek dezorientacji opinii publicznej zdołały między 29 listopada a 4 grudnia 1830 zdobyć całą władzę nad ruchem narodowym i władzę tę utrzymały do ostatnich chwil wojny z Mikołajem I, widząc w powrocie Królestwa pod panowanie dworu petersburskiego klęskę z punktu widzenia swoich podstawowych interesów politycznych mniejszą niż ta, jaką przyniosłoby zwycięstwo w wojnie z caratem, zwycięstwo tak realne, że osiągnięciu jego przeszkodzić zdołano tylko przez intensywne i bardzo zręczne starania polityczne, propagandowe i dywersyjne. Jakby książki nie zrozumiano... a może – jakby jej teza zasadnicza okazała się zbyt irytująca dla podjęcia z nią merytorycznej dyskusji<sup>16</sup>.

Wywodami wspomnianego posłowania do drugiego wydania autor *Szans powstania listopadowego* zastrzył swe stanowisko i wprowadził pojęcie „polskiego ruchu antyniepodległościowego w XIX wieku jako antytezy i dopełnienia ruchu niepodległościowego”. Ów ruch

<sup>15</sup> J. Łojek, *Szans powstania listopadowego*, s. 168 (niniejszego wydania).

<sup>16</sup> Tamże, s. 169.



przejawiał się nie w postawie lojalistycznej, ale w „intensywnym zwalczaniu wszelkich prób powstańczych”<sup>17</sup>.

Swoje refleksje nad powstaniem listopadowym z 1980 roku Łojek zamknął stwierdzeniem, iż „polskiej publicystyce historycznej dotyczącej okresu rozbiorów i powstań zawdzięczamy w znacznym stopniu wychowanie naszego społeczeństwa w fatalistycznym przeświadczeniu o własnej »niemożności«, o swej roli »piórka na wietrze Historii«”. Książkę swoją postrzegał jako sprzeciw wobec tej tendencji. „Powstanie listopadowe – pisał – wybuchło po pewnym przygaśnięciu sprzyjającej koniunktury międzynarodowej, ale miało wszelkie szanse sukcesu – tezę tę po latach z całym przekonaniem podtrzymuję”<sup>18</sup>.

*Summa summarum*, wprost nie wolno nie podkreślić, iż argumenty Łojka otwierały dyskusję nad powstaniem listopadowym na nowo. W jednym trudno nie przyznać mu racji: że mobilizacja społeczeństwa w walce o narodową sprawę mogła być mimo wszystko większa. Czy jednak stwierdzenie, iż „z analizy sytuacji międzynarodowej w Europie w okresach szczególnie sprzyjających sprawie polskiej (1806–1807, 1828–1829, 1854–1855) wynika, że istniały ówczas poważne szanse odzyskania przez Polskę niepodległości – pod warunkiem dostatecznego własnego wysiłku społeczeństwa polskiego”<sup>19</sup> – ma za sobą mocne argumenty, nie ma jednoznaczności, ani tym bardziej (zapewne nigdy) nie będzie w tym względzie *consensus omnium*. *Szanse powstania listopadowego* – przy wszystkich kontrowersjach, jakie im od chwili publikacji towarzyszą – pobudzają do dyskusji, co sprawia, że stawiamy sobie wciąż na nowo wielkie pytania o porozbiorowe losy naszego kraju.

Pogląd, iż naród polski – a ściślej jego warstwy uprzywilejowane – hamował ruch niepodległościowy, był głęboko osadzony w przekonaniach historycznych Łojka. Należy bowiem pamiętać, iż już w roku 1958, jako trzydziestosześcioletni wówczas historyk, wystąpił on gwałtownie przeciw poglądom Ksawerego Pruszyńskiego zawartym w jego książce o margrabim Aleksandrze Wielopolskim. Dziełko to, wydane w Londynie w roku 1944, wznowiono w kraju – w popaździernikowej atmosferze odwilży – z przedmową Stanisława

<sup>17</sup> Tamże, s. 171–172.

<sup>18</sup> Tamże, odpowiednio s. 174 i 172.

<sup>19</sup> Tamże, s. 172.



Mackiewicz<sup>20</sup>. Łojek nazwał pamflet Pruszyńskiego „apoteozą quislingizmu” i artykuł tej treści poświęcił książce w PAX-owskim tygodniku „Kierunki” w styczniu 1958 roku.

Ostro atakował Łojek porozbiorowe tendencje ugodowe. Dowodził, iż żadnych szans ugody z Rosją jako zaborcą i ciemieżcą nie było. Aby taka mogła zaistnieć – musiałyby jej realnie chcieć dwie strony, a tak nie było. Tymczasem

oferty współpracy ze strony Polski nikt spośród sfer **mających coś do powiedzenia** w Rosji przyjąć nie zamierzał. [...] W połowie XIX wieku gabinet petersburski dochodzić z Polską do zgody nie zamierzał, po prostu dlatego, że dla potężnego imperium carskiego współdziałanie Polski było absolutnie niepotrzebne, a uzyskanie tej współpracy najmniejszym choćby kosztem nie opłacało się wcale. [...] W warszawskiej administracji carat potrzebował wiernych poddanych, a nie reprezentantów polskich interesów, i takich poddanych, z Wielopolskim na czele, miał<sup>21</sup>.

W wyborze tradycji historycznej – który przedstawiał Łojek – nie było pola do jakiegokolwiek kompromisu.

Musimy wybrać raz na zawsze, konkretnie, zdecydowanie i konsekwentnie, do **jakich** tradycji historycznych nawiązujemy, jakie idee kontynuujemy, za których spadkobierców się uważamy. Możemy wybrać Jakuba Jasińskiego, Waleriana Łukasińskiego, Edwarda Dembowskiego, Henryka Kamieńskiego, Jarosława Dąbrowskiego, Romualda Traugutta. Możemy wybrać inaczej – tak jak sugerował nam Pruszyński, jak podsuwają Mackiewicz lub Bocheński – Szczęsnego Potockiego i Aleksandra Wielopolskiego. Wybranych musimy otoczyć chwałą. Tych drugich zdecydowanie potępić. Pruszyński wyboru dokonał. Miejmy nadzieję, że świadectwo tego wyboru, jakie dał w *Margrabim*, nie było jednak ostatecznym odzwierciedleniem jego prawdziwych poglądów<sup>22</sup>

<sup>20</sup> K. Pruszyński, *Margrabia Wielopolski*, przedmowa S. Mackiewicz, Warszawa 1957. Pierwsze wydanie pamflet polityczny Pruszyńskiego miał w Londynie latem 1944 roku.

<sup>21</sup> J. Łojek, *Apoteoza quislingizmu*, „Kierunki” 1958, nr 1 (s. 634 niniejszego wydania).

<sup>22</sup> Tamże, s. 641.

– pisał Łojek w cytowanym przez nas artykule *Apoteoza quislingizmu*. Ów tekst ma dla ilustracji jego poglądów na polskie dzieje porozbiorowe dużą wagę. Zapowiadał on bowiem jednoznaczne opowiedzenie się po stronie insurekcyjnego patriotyzmu i przeciw wszelkim postawom na rzecz lojalizmu, adaptacji i ugody. Tych poglądów Łojek nigdy już nie zmieni.

Niewątpliwie nie bez związku z polskim narodowym doświadczeniem „rewolucji moralnej”, jakim był ruch „Solidarność” (1980–1981), napisał Łojek ważki – chociaż niezmiernie dyskusyjny – tekst *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej: 1795–1917*<sup>23</sup>. Ukazał się on opatrzony pseudonimem Łukasz Jodko w drugim obiegu, czyli poza cenzurą, w roku 1980, a po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku był kilkakrotnie wznawiany, również w publikacjach podziemnych. Esej ów stanowi streszczenie poglądów historyka w sprawie dylematu: walka czy ugoda?

Orientacja na Rosję – dowodzi Łojek – to droga ku bierności i zażęczeniu aspiracji narodu. Nie było partnera dla ugody po stronie zaborczego imperium. Następstwem tych postaw musiało być osłabienie sił stawiających sobie za cel walkę o niepodległość, a rezultatem przybliżanie się ku ostatecznej klęsce w postaci pogodzenia się z niewolą.

*Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej* przyniosła powtórzenie dobrze znanych argumentów o znaczących siłach, jakimi rozporządzał naród polski, jego „potencjale ludnościowym i ekonomicznym”. Łojek zwracał się przeciw występującej „w publicystyce i historiografii polskiej” tezie o „solidarności zaborców”. „Były pomysły współdziałania między Berlinem a Petersburgiem w czasach powstania listopadowego, potem w czasach powstania styczniowego (tzw. konwencja Alvenslebena 1863). Nigdy jednak nie doszło do realnego współdziałania”.

Austria – twierdził – zajmowała wobec Polski postawę, którą można by nazwać postawą życzliwej neutralności. Nie zwalczała polskich aspiracji niepodległościowych, chyba że – jak w roku 1846 – nieprzemysłane pomysły konspiracyjne zmierzały do rozpoczęcia ogólnego powstania w Polsce przede wszystkim od akcji przeciwko Austrii, nie zaś Rosji<sup>24</sup>.

<sup>23</sup> Porównanie „Solidarności” do „rewolucji moralnej” z 1861–1862 pochodzi od Henryka Wereszyckiego.

<sup>24</sup> J. Łojek, *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej: 1795–1917*, Warszawa 1980 (s. 609 niniejszego wydania).

Marzenia ugodowców z początku lat sześćdziesiątych XIX wieku (z Wielopolskim na czele), aby mógł „nastąpić powrót do autonomii z czasów Królestwa Polskiego 1815–1830”, oparte były na nadziejach bezpodstawnych.

Reformy Aleksandra Wielopolskiego, który cieszy się opinią polityka zdolnego doprowadzić do realizacji owego pólideału, jakim było autonomiczne Królestwo Polskie, nie mogły, w rzeczy samej, doprowadzić do niczego pozytywnego. Wielopolski usiłował zrealizować quasi-kompromis, który nie zadowalał społeczeństwa polskiego, a dla rosyjskich sfer rządowych był niemal prowokacją. Prawda: przy rezygnacji z zasadniczych ambicji narodowych można było zapewne doprowadzić do pewnego złagodzenia systemu władzy rosyjskiej na obszarze Królestwa i do częściowego wprowadzenia elementu polskiego do aparatu administracyjnego. Lecz dalej sięgające nadzieje, jakie niekiedy wiązano z reformami Wielopolskiego, które wiązała później z działalnością Wielopolskiego publicystyka historyczna, były zupełnie bezpodstawne. Aleksander Wielopolski był, niestety, człowiekiem, którego posądzano i oskarżano o niesłychaną pychę, krótkowzroczność, bezwzględność i nieumiejętność postępowania z własnym społeczeństwem. Przede wszystkim nie rozumiał w ogóle znaczenia opinii publicznej. Na jego przykładzie sprawdziła się w klasyczny niemal sposób teza naukowej historiografii, że jeśli polityk nie umie dojść do porozumienia z opinią publiczną swojego kraju, to wina leży ZAWSZE po jego stronie, nigdy po stronie opinii publicznej. Trzeba pamiętać, że nastawienie opinii publicznej jest w każdej rzeczywistości historycznej faktem tak samo obiektywnym, jak układ sił politycznych, sił militarnych czy potencjał ekonomiczny danego kraju w tym okresie. Opinią publiczną można oczywiście sterować, w pewnym zakresie, przez tzw. środki masowego przekazu. W epoce Wielopolskiego ograniczały się one do niewielkiej liczby gazet. Wszelako przez oddziaływanie propagandowe nie można zneutralizować wpływu czynników obiektywnych w rodzaju sytuacji ekonomicznej, politycznej, ustrojowej czy zawiedzionych nadziei i oczekiwań społeczeństwa. Wielopolski tego nie rozumiał i dlatego cała jego działalność, cała reprezentowana przez niego orientacja rosyjska, musiała skończyć się klęską. Znalazła się bowiem w konflikcie z nastrojami ogromnej większości polskiej opinii publicznej<sup>25</sup>.

<sup>25</sup> Tamże, s. 613–614.

Program Wielopolskiego nie znalazł poparcia jego własnego społeczeństwa. Z tą konstatacją – mającą za sobą prawdziwy *consensus omnium* historyków polskich – godził się Łojek bez zastrzeżeń. Formułował jednak również bardzo krytyczny pogląd o tym polityku, upatrując w nim po prostu użyteczne narzędzie Rosji. Posłużono się jego osobą do rozładowania napięcia w Królestwie Polskim, które przeorała rewolucja moralna. Powstania styczniowego można było, być może, uniknąć, gdyby nie prowokacja Wielopolskiego, czyli zarządzony w styczniu 1863 roku pobór przymusowy do armii rosyjskiej.

W końcu słabiutki powstanie stłumione zostało metodą totalnego terroru, przy ogólnie bardzo niskim (trzeba to najmocniej podkreślić) wysiłku społeczeństwa na rzecz sprawy narodowej, jeśli wziąć pod uwagę rzeczywisty potencjał ludnościowy i ekonomiczny kraju<sup>26</sup>.

Swój esej *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej* kończył Łojek jeszcze jedną ważną refleksją.

Gdy dochodzimy do końca rozważań sprawy orientacji rosyjskiej w Polsce okresu rozbiorów, trzeba wspomnieć o pewnym zasadniczym nieporozumieniu, które ciąży na całej prawie polskiej historiografii i publicystyce historycznej dotyczącej tych zagadnień. Orientacja rosyjska w Polsce wieku XVIII i XIX związana jest z reguły z tzw. realizmem politycznym. Otóż trzeba zwrócić uwagę, że realistycznym jest tylko taki program, który w szukaniu partnera do jakiegokolwiek kompromisu czy układu może liczyć na częściowo choćby pozytywny odzew z drugiej strony. Prowadzące realistyczną politykę państwo czy społeczeństwo słabsze dąży do porozumienia z silniejszym na zasadzie korzyści nierównych, niemniej jednak zawsze wzajemnych. Realistycznym jest np. układ, który stronie silniejszej daje 70% korzyści, 30% zachowując dla strony słabszej. Nie jest wszelako polityką realistyczną szukanie współdziałania ze stroną, która żadnym kompromisem nie jest w ogóle zainteresowana – na zasadzie *sui generis* kapitulacji bezwarunkowej. Taka była właśnie sytuacja orientacji rosyjskiej w Polsce XVIII i XIX wieku. Wszelkie próby dojścia z Petersburgiem do porozumienia kończyły się fiaskiem dlatego, że ze strony rosyjskiej nie było żadnego oddźwięku, żadnego zrozumienia dla interesów polskich, żadnej gotowości poszanowania choćby niektórych polskich postulatów. Realistyczna

<sup>26</sup> Tamże, s. 614.

rzekomo polityka Stanisława Augusta czy Aleksandra Wielopolskiego rozbijała się o mur zimnej obojętności adresatów, do których była kierowana – a tym bardziej w oczach narodu spadała na poziom kolaboracyjnej ugody. Ze strony Rosji nie było to, oczywiście, również jakąkolwiek polityką realistyczną, gdyż realizm silniejszego wymaga poszanowania zasadniczych praw i postulatów partnera słabszego. Realizmem silniejszego jest zawsze umiarkowanie w realizowaniu swoich interesów – tak czy owak zawsze doraźnie i subiektywnie rozumianych przez aktualną grupę kierowniczą danego państwa. Swoisty stosunek dworu petersburskiego do sprawy polskiej, polegający na oczekiwaniu zawsze tylko bezwarunkowej kapitulacji i całkowitej rezygnacji z wszelkich praw narodowych, uniemożliwiał jakąkolwiek realistyczną politykę polską w ramach orientacji rosyjskiej. Nie jest bowiem nigdy żadną polityką oferowanie swojej bezwarunkowej kapitulacji, co przedstawiciele orientacji rosyjskiej w Polsce czynili aż nadto często. Natomiast jakiegokolwiek współdziałania z Polską, dającego pewne korzyści także stronie słabszej, dwór rosyjski nie uważał nigdy za możliwe. Toteż tzw. realizm orientacji rosyjskiej w XVIII i XIX wieku był głoszeniem pobożnych życzeń, do upragnionego partnera zupełnie nieprzemawiających. W praktyce „realizm” ten polegał na sprowadzeniu narodowej opinii publicznej na fatalne i szkodliwe dla sprawy manowce<sup>27</sup>.

Dążenia „realistów” politycznych dlatego były nierealistyczne, że adresowali oni ofertę ugody do despotycznej władzy, która jej wcale nie pragnęła.

*Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej* wywołała komentarze nie tak liczne jak *Szanse powstania listopadowego*, lecz była przedmiotem polemik. *Pars pro toto* przypomnieć warto uwagi Piotra Wandycza. Na łamach „Zeszytów Historycznych” Giedroycia przedstawił on zdecydowaną krytykę poglądów Łojka. W tym duchu wskazywał na „potępienie rzekomej bierności Polaków” w jego pismach. Krytycznie oceniał to usiłowanie wyzyskania historii do wznowienia sporu orientacyjnego. Pytał też retorycznie: „Czy historia ma uczyć nas tego, jak trudne i zawile były drogi polskie w przeszłości, czy też służyć ma tylko jako broń w polemikach?”<sup>28</sup>.

<sup>27</sup> Tamże, s. 628–629.

<sup>28</sup> P. Wandycz, *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej*, w: tegoż, *Polska a zagranica*, Paryż 1986, s. 144.

Trzecim antyugodowym wystąpieniem Łojka (obok *Apoteozy quislingizmu* i *Orientacji rosyjskiej w polskiej walce niepodległościowej*) pozostaje esej *Idea niepodległości w okresie zaborów*, drukowany w „Zeszytach Historycznych” (64/1983). Tekst ów powstał jako referat na sesję naukową zatytułowaną „Ku Niepodległości”. Sympozjum miało mieć miejsce na Uniwersytecie Warszawskim na początku listopada 1981 roku, lecz nie odbyło się tam z obawy przed prowokacją SB wskutek strajku studentów solidaryzujących się ze strajkiem Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Radomiu. Obrady przeniesiono więc do siedziby Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Mazowsze w Warszawie, przy ul. Mokotowskiej 16/20<sup>29</sup>.

W konkluzjach artykułu wyraził Łojek raz jeszcze swój syntetyczny sąd o polskich dziejach porozbiorowych:

Spoglądając na dzieje idei niepodległości w całym okresie porozbiorowym, trzeba stwierdzić: gdy w roku 1918 przysła chwila odzyskania niepodległości, wielu było chętnych do współuczestniczenia w zasłudze jej odzyskania, a wszystkie prawie siły polityczne, mające jakieś realne oparcie w społeczeństwie, dopominały się o uznanie dla swoich czy swoich poprzedników zasług w walce o niepodległość. W rzeczywistości społeczeństwo polskie skorzystało wtedy z czynu i poświęcenia **znacznej mniejszości kilku kolejnych generacji**. Mniejszości, która przez cały wiek XIX nie mogła doczekać się należytego uznania. Do smutnych refleksji nastraja przypuszczenie, że gdyby idea niepodległości była własnością i podstawą działania rzeczywistej większości polskiego społeczeństwa, jej urzeczywistnienie nastąpiłoby, być może, znacznie wcześniej<sup>30</sup>.

Wszystkie wymienione już trzy teksty, a zwłaszcza *Apoteoza quislingizmu* oraz *Orientacja rosyjska*, dobitnie wyrażają poglądy Łojka jako historyka i obywatela, rzecznika patriotyzmu insurekcyjnego i wyznawcy tezy, iż imperialna Rosja była głównym przeciwnikiem polskich dążeń wolnościowych, a dla polskich ugodowców

<sup>29</sup> W czasie sesji dnia 14 listopada 1981 roku wygłoszone zostały referaty, które przygotowali: Adolf Juzwenko, Stefan Kurowski, Jerzy Łojek i Stanisław Szczuka; po referatach nastąpiła ożywiona dyskusja. Teksty miało ogłosić podziemne pismo „Głos”, redagowane przez Antoniego Macierewicza, uniemożliwił to jednak stan wojenny, wprowadzony 13 grudnia 1981 roku.

<sup>30</sup> J. Łojek, *Idea niepodległości w okresie zaborów*, „Zeszyty Historyczne” (Paryż) 1983, z. 64, s. 57–69 (s. 653 niniejszego wydania).

w żadnym wypadku nie mogła stać się partnerem. Potrzebowała po polskiej stronie tylko klientów i wykonawców swojej polityki.

Jakby stawiając kropkę nad i, Łojek wyraził swoje prawdziwe credo historyka dziejów porozbiorowych w roku 1978, gdy komentował książkę Tomasza Łubieńskiego *Bić się czy nie bić?* Pisał wtedy:

Ideologia nieczynu i pogodzenia się z **rzeczywistością** trwała aż do czasu, kiedy to zdeterminowana mniejszość umiała skorzystać z okazji, dowodząc, że bić jednak się warto... Wynikła z tego krótkotrwała, dwudziestoletnia niepodległość. Niewiele, lecz czymże byśmy dzisiaj byli bez tych 20 lat?<sup>31</sup>.

Przy rekonstrukcji poglądów autora *Szans powstania listopadowego* myśląc byłoby wszakże zawęzić jego twórczość do głosu w sporze Polaków o drogę do niepodległości.

Jako historyk prasy był Jerzy Łojek autorem dwóch książek poświęconych opinii publicznej w Królestwie Polskim doby autonomicznej. W roku 1966 nakładem PWN ukazała się publikacja jego tomu *Studia nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim 1815–1830*. Rozwijając tę książkę – i powtarzając w wersji zmodyfikowanej trzy jej rozdziały – w roku 1982 Łojek ogłosił nakładem oficyny wydawniczej „Czytelnik” nowe i ważkie studium *Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego*. Te dwa studia z dziejów opinii publicznej Królestwa Polskiego stanowią niewątpliwie najważniejsze jego osiągnięcie jako dziewiętnastowiecznika.

Recenzując *Studia nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim 1815–1830*, Władysław Zajewski docenił tezę autora o znaczącym wpływie francuskiej rewolucji lipcowej 1830 roku na polską „rewolucję listopadową”, jak nazywali powstanie rozpoczęte 29 listopada 1830 roku współcześni mu Polacy. Zajewski zauważył, iż praca Łojka „gubi wkład historyków dokonany po roku 1945” w badania nad okresem autonomicznego Królestwa. Wytknął też autorowi recenzowanej przez siebie pracy, iż „uchyla się całkowicie od próby zdefiniowania pojęcia opinii publicznej”<sup>32</sup>.

<sup>31</sup> J. Łojek, *Może jednak się bić?*, „Życie Literackie” 1978, nr 38 (s. 658–659 niniejszego wydania).

<sup>32</sup> Zob. W. Zajewski (rec.), „Kwartalnik Historyczny” 1968, nr 1, s. 177 oraz 181–182.



Twórczość Łojka z problematyki porozbiorowych dziejów Polski obejmuje czasy Księstwa Warszawskiego, dobę autonomicznego Królestwa Polskiego i wojny polsko-rosyjskiej 1830–1831. W epokę powstania styczniowego i czasu popowstaniowego pięćdziesięciolecia niewoli Łojek badawczo nie sięgał. W eseju *Idea niepodległości w okresie zaborów* wypowiedział jednak kilka myśli znamienne odzwierciedlających jego zapatrywania na ówczesne realia. Przekonany, iż walcząc o odbudowę utraconego państwa, Polacy nie mogli zrezygnować z ziem zabranych, podkreślał, że doktryna egoizmu narodowego pozostaje błędem i prowadzi do „skurczenia” rozmiarów Polski do rozmiarów narodowego terytorium<sup>33</sup>. Program ustanowienia federacji na obszarach dawnej Rzeczypospolitej postrzegał jako niemający alternatywy. Pisał więc z afirmacją:

Idea niepodległości rozwijana przez Józefa Piłsudskiego opierała się na założeniu, iż ze względu na tradycję historyczną niepodległa Rzeczpospolita nie może zrezygnować z ziem historycznych w granicach przed 1772 rokiem, chociaż ze względu na nowy stan świadomości znacznej części ludności tych obszarów nie może być mowy o wyłącznym decydowaniu przez Polaków o losach tych ziem ani o prostej inkorporacji obszarów wschodnich. Rzeczpospolita Polska nie powinna stać się państwem czysto polskim także z powodów geopolitycznych. Państwo zaledwie 20-milionowe, wtłoczone między Niemcy a Rosję, nie mogło bowiem długo się utrzymać. W takiej sytuacji mogłaby istnieć tylko Rzeczpospolita będąca wspólnym państwem kilku równouprawnionych narodów, mająca zapewne w sumie około 70 milionów obywateli<sup>34</sup>.

Warto zwrócić uwagę na niektóre charakterystyczne poglądy autora *Szans powstania listopadowego*, którym dawał wyraz w swej publicystyce historycznej. Biografii Hugona Kołłątaja – autorstwa Mariana J. Lecha – poświęcił Łojek nieco ironiczną recenzję, zatytułowaną *Kołłątaj wzniosły i bez skazy*<sup>35</sup>. Nie miał najlepszej opinii

<sup>33</sup> Pojęcia „narodowe terytorium polskie” używał np. prof. Stanisław Grabski (zob. tegoż, *Z codziennych walk i rozważań*, Poznań 1923, s. 42).

<sup>34</sup> J. Łojek, *Idea niepodległości w okresie zaborów*, s. 652 (niniejszego wydania).

<sup>35</sup> J. Łojek, *Kołłątaj wzniosły i bez skazy*, „Nowe Książki” 1973, nr 15, s. 43–46 (s. 681–690 niniejszego wydania). Książka M.J. Lecha: *Hugo Kołłątaj*, Warszawa 1973.



o Naczelniku Tadeuszu Kościuszcze, a w niewątpliwie hagiograficznej jego biografii pióra Tadeusza Korzона (1894) upatrywał najsłabsze z dzieł tego wybitnego historyka<sup>36</sup>. Wysoko cenił Łojek piarstwo Waclawa Tokarza. Afirmarywnie przytoczył jego pogląd o generale Skrzyneckim jako wodzu naczelnym, zawarty w niezastąpionej do dziś monografii *Wojna polsko-rosyjska 1830–1831*:

Historykowi pozostaje jedynie droga przypuszczenia, że albo Skrzynecki upadł wtedy zupełnie pod ciężarem odpowiedzialności, przestającej jego siły, i nie powinien był ani dnia dłużej sprawować dowództwa, albo też – z tych czy innych przyczyn – nie chciał myśleć nawet o zadaniu Mikołajowi takiego ciosu, jak pobicie jego gwardii<sup>37</sup>.

Bardzo wysoko oceniał Łojek wydaną w roku 1925 rozprawę Tokarza *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*. „Tokarz właśnie przedstawił cały mechanizm i dzieje sprzysiężenia wojskowo-cywilnego, które u schyłku doby autonomicznej Królestwa pchnęło naród do walki o niepodległość” – pisał w komentarzu do reedycji tego dzieła<sup>38</sup>. W sumie, swoimi interpretacjami kluczowych momentów porobiorowej historii narodu polskiego Łojek jednoznacznie wpisuje się w tradycję historiograficznej afirmacji insurekcyjnego patriotyzmu.

Głównym przewodnikiem autora *Szans powstania listopadowego* po czasach Księstwa Warszawskiego i konstytucyjnego Królestwa Kongresowego był Szymon Askenazy. Komentując wznowienie po latach jego *Księcia Józefa*, Łojek napisał:

Askenazy pojmował swoją działalność badawczą i swoje piarstwo historyczne jako służbę dla przyszłości narodu polskiego. Wydobywał z przeszłości wzory i przykłady godne w jego odczuciu aprobaty, pomijał milczeniem lub usuwał w cień wydarzenia lub postacie, które nie wznosiły się (jego zdaniem) na szczyty dziejowej wielkości<sup>39</sup>.

<sup>36</sup> Pogląd taki wyraził, recenzując studium Krystyny Śreniowskiej (*Kościuszek, bohater narodowy. Opinie współczesnych i potomnych: 1794–1946*, Warszawa 1973). Zob. J. Łojek, *Tadeusza Kościuszki droga do rangi bohatera narodowego*, „Nowe Książki” 1974, nr 8, s. 44–47 (s. 691–699 niniejszego wydania).

<sup>37</sup> W. Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831*, Warszawa 1930, s. 352–353.

<sup>38</sup> Przedmowa do książki: *Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego*, Warszawa 1982 (s. 277–279 niniejszego wydania).

<sup>39</sup> J. Łojek, *Askenazy i jego „Książę Józef”*, „Kierunki”, nr 26, 30 czerwca 1974 (s. 764 niniejszego wydania).

Integralną częścią pisarstwa Łojka pozostaje jego publicystyka. W studiach nad porozbiorową historią Polski wyróżnić możemy dwie zasadnicze grupy tekstów, jakie wyszły spod jego pióra. Pierwszą z nich i najobszerniejszą stanowią rozmaite rozważania, prowadzone głównie na przestrzeni ostatnich 15 lat życia, wokół szans powstania 1830 roku. *Pars pro toto* wspomnijmy tylko o takich esejach, jak *Znaczenie aktu detronizacyjnego z 25 stycznia 1831* („Miesięcznik Literacki” 1981, nr 4/176) albo *Gdyby nie Skrzyneczki...* („Kontrasty” 1980, nr 11/147). Do tego nurtu publicystyki należą też recenzje, np. biografii Piotra Wysockiego pióra Tadeusza Łepkowskiego (*Człowiek, który rozpoczął powstanie listopadowe*, „Nowe Książki” 1972, nr 22/546), albo wywiady, np. *1830. Nadzieje i alternatywy. W 150. rocznicę powstania listopadowego* („Kierunki”, nr 48, 30 listopada 1980), który przeprowadził zmarły w ubiegłym roku Zbigniew Irzyk.

Drugą grupę stanowią rozmaite artykuły i szkice przygodne, jak chociażby szkic wokół książki Alberta Manfreda zatytułowany *Napoleon a Rosja, czyli marzenia historyka* („Nowe Książki” 1981, nr 15/735) albo szkic recenzyjny nad biografią Stanisława Worcella: *Marzenia „Czerwonego hrabiego”* („Nowe Książki” 1980, nr 18), czy też o powieści historycznej Wacława Gąsiorowskiego, poświęconej Józefowi Bemowi.

Podsumowując: poglądy Jerzego Łojka na polskie dzieje porozbiorowe dałoby się ująć w czterech punktach: (1) nie ma wątpliwości, że o utraconą niepodległość należy bić się, ale lepiej, bardziej ofiarnie – a przede wszystkim w oparciu o większą mobilizację narodu; (2) Polacy nie zdołali zaangażować w walkę proporcjonalnych sił w stosunku do własnego potencjału ludnościowego i terytorialnego; (3) solidarność mocarstw zaborczych jest tezą nadmiernie ekspozowaną *ex post* w historiografii; (4) orientacja ugodowa była czymś szkodliwym.

Kiedy przychodzi nam rozważać zasadniczy pogląd Łojka, że porozbiorowe społeczeństwo polskie było w niewielkim stopniu zaangażowane w walkę o niepodległość, wypada zgodzić się z nim w tym zakresie, iż na pewno nie uczynili Polacy wszystkiego, co było w ich mocy, aby odzyskać własne państwo. Zrywy powstańcze wybuchały na ogół w niesprzyjających konstelacjach międzynarodowych. Ale co najważniejsze, z racji słabego mieszczaństwa nie było tej siły sprawczej, która mogła zdobyć się na wielki zryw, którego sugestywny przykład dała światu Francja – rewolucyjna i napoleońska.

Polscy chłopi pozostawali przecież w swej zasadniczej masie siłą nieświadomioną narodowo, a więc niedającą się porwać do walki o niepodległość.

Kiedy analizujemy pisarstwo Łojka poświęcone dobre porobiorowej w naszych dziejach, należy podkreślić dwie jego cechy: po pierwsze, była to „troska o pozostawienie wśród żywych części własnej osobowości” – jak ujął to on sam w szkicu o Emilu Kipie, swoim naukowym mistrzu, upatrując w takim podejściu ideał dziejopisarstwa. Po drugie, preferowaną z upodobaniem formą wypowiedzi historyka była luźna refleksja, odpowiadająca temu wzorowi pisarstwa, który stworzył Szymon Askenazy, nadając mu nazwę „wczasów historycznych”<sup>40</sup>. Najbardziej zasadniczą wszakże dewizą było przekonanie Łojka, iż historia jest „genealogią terażniejszości”. I ta myśl towarzyszyła mu konsekwentnie w wędrówce przez trzy stulecia: XVIII, XIX i XX.

\*

Niniejszy tom pism dziewiętnastowiecznych Jerzego Łojka gromadzi jego dorobek z tego zakresu, a obejmuje łącznie 35 tekstów, w tym trzy większe opracowania oraz artykuły, eseje, recenzje.

Czytelnik stworzonego przez nas zbioru z łatwością dostrzeże trafiające się powtórzenia niektórych myśli autora – niekiedy w bardzo podobnej stylizacji. Nie mogąc ingerować w prace zmarłego historyka, pozostawiamy je tak, jak ukazywały się one drukiem za jego życia – z wyjątkiem usunięcia oczywistych pomyłek (np. dat). Wszystkie teksty publikuje się bez żadnych skrótów.

*Szansę powstania listopadowego* drukujemy według wydania drugiego z roku 1980, wraz z posłowiem, które dodał autor w grudniu 1979 roku. Z tomu *Studiów nad prasą i opinią publiczną w Królestwie Polskim 1815–1830* dajemy dwa pierwsze rozdziały. Monografia z roku 1982 *Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego* przedrukowana zostaje w całości.

Trzynaście studiów, wywiadów i recenzji tworzy grupę wypowiedzi poświęconych dylematom powstania listopadowego. Pięć tekstów: (1) *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej*,

<sup>40</sup> S. Askenazy, *Wczasy historyczne*, t. 1–2, Warszawa 1902–1904, oraz *Nowe wczasy historyczne*, Warszawa 1910 – jako t. 3.

(2) *Apoteoza quislingizmu*, (3) *Idea niepodległości w okresie zaborów* oraz (4) *Praca organiczna na cenzurowanym* i (5) *Może jednak się bić?* – stanowi grupę wystąpień wokół pytania zawartego w tytule książki Tomasza Łubieńskiego *Bić się czy nie bić?*

Dwanaście tekstów – powstałych przygodnie – dotyczy rozmaitych problemów XIX wieku. Część z nich to szkice z problematyki początków XIX wieku, komentujące nowe studia o Hugonie Kołłątaju czy Tadeuszu Kościuszcze – inne traktują o sprawach jego drugiej połowy, jak np. rozważania wokół pisarstwa Józefa Ignacego Kraszewskiego. Całość zamykają (jako swoisty aneks) dwa szkice do naukowego portretu mistrzów Łojka: Szymona Askenazego i Emila Kipy, profesora, pod kierunkiem którego Łojek rozpoczął karierę historyka. Autor *Szans powstania listopadowego* urodził się w roku, w którym zmarł Askenazy. Kipa był jego uczniem. Pozostaje więc Łojek „naukowym wnukiem” autora *Przymierza polsko-pruskiego* i *Łukasińskiego*.

Dodajmy jeszcze, iż część spośród rozproszonych szkiców i esejów zebrał sam autor w tomiku *Wokół sporów i polemik* (seria druga), wydanym w Lublinie w roku 1984, wznowionym następnie w roku 1991 (w poszerzonej wersji), również nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Kraków, sierpień 2015 rok



# STUDIA



**I.**  
**Szanse powstania listopadowego**





## Od Autora

Książka niniejsza jest próbą reinterpretacji najważniejszych zagadnień historii politycznej i militarnej powstania listopadowego – a nie nowym popularnym zarysem dziejów tego powstania. Pisząc tę pracę, umyślnie ograniczyłem się do faktów i problemów wybranych. Sprawy, które w niej poruszam, wymagałyby – dla pełnego ich zanalizowania i omówienia – dzieła o objętości kilkudziesięciu arkuszy, zaopatrzonego w wyczerpującą naukową dokumentację, a poddającego gruntownej i bezwzględnej krytyce zasadnicze poglądy i uogólnienia składające się na całość dorobku naszej historiografii w zakresie syntezy dziejów powstania listopadowego. Mam nadzieję, że dzieło takie zostanie kiedyś napisane, gdyż ostateczna synteza historii tego powstania winna być poprzedzona dogłębną i krytyczną, w pełni naukową próbą nowego i „rewizjonistycznego” spojrzenia na większość aspektów historii militarnej, politycznej i społecznej 1830/1831 roku, właściwym wyważeniem ocen i zburzeniem tradycyjnych mitów, po dziś dzień ciężących szkodliwie nawet na świadomości historyków specjalistów. Przede wszystkim jednak potrzebne jest zwarte, krótkie, wyraźne sformułowanie protestu przeciwko pesymistycznym i katastroficznym, pełnym zgrozy i ubolewania nad „nieodpowiedzialnością społeczeństwa polskiego”, fałszywym wizjom powstania listopadowego, rzekomo z góry skazanego na klęskę – wizjom, które opanowały polską publicystykę historyczną i wywierają szkodliwy wpływ na kształtowanie się świadomości historycznej współczesnego polskiego społeczeństwa. Potrzebne jest również – a może jeszcze bardziej – zwrócenie uwagi

na fakt, iż powstanie listopadowe nie upadło bynajmniej wskutek zdławienia go przemocą militarną Rosji carskiej, a klęska jego była przede wszystkim skutkiem planowego działania tych sił politycznych w Królestwie Polskim, w których przeświadczeniu ewentualne wywalczenie niepodległości byłoby groźniejsze i niebezpieczniejsze niż ostateczna klęska walki narodowej. Celem niniejszej książki jest skłonić czytelnika do oderwania się od tradycyjnych, a dalekich od prawdy poglądów na powstanie listopadowe i dać mu okazję do samodzielnych krytycznych przemyśleń. Myślenie historyczne to nie tylko umiejętność dostrzeżenia procesów społecznych i tendencji politycznych, które w ostatecznym wyniku starć i konfliktów złożyły się na taki właśnie, a nie inny obrót wydarzeń. Ważnym elementem historycznego myślenia jest również umiejętność dostrzeżenia alternatywy, zauważenia w każdej przełomowej sytuacji nieiszczonęj ówczas, ale w pewnym momencie realnej możliwości innego obrotu wypadków. Książka ta zrodziła się z przekonania, że właśnie w badaniach nad powstaniem listopadowym ta świadomość realnej wówczas alternatywy jest szczególnie potrzebna, że może być naukowo wybitnie płodna. Wyjaśnienie problemów historycznej alternatywy w sytuacji 1830/1831 roku daje nam możliwość właściwego postawienia sprawy odpowiedzialności zbiorowej i indywidualnej za klęskę powstania listopadowego.

Pracę tę przeznaczam dla szerokiego kręgu czytelników; niemniej jednak z góry zakładam, że czytelnik zna przynajmniej w ogólnych zarysach problemy i wydarzenia lat 1815–1831 i potrafi wszystkie powoływane przeze mnie fakty osądzić we właściwym kontekście.

J.Ł.

Warszawa, w 1966 roku

## 1.

Powstanie, które wybuchło wieczorem 29 listopada 1830 roku, było wydarzeniem historycznie nieuniknionym. Przygotowywały je wszystkie obiektywne czynniki społeczne, wewnątrzno-polityczne i międzynarodowe, określające byt Królestwa Polskiego; do powstania – pojętego jako zbrojna walka przeciwko carowi i Rosji – gotowa była olbrzymia większość uświadomionej i aktywnej patriotycznie części społeczeństwa polskiego: znaczna część szlachty, większość burżuazji, drobnomieszczaństwo, inteligencja, plebs miejski, młodszy oficerowie i żołnierze. Powstanie rozpoczęło się jednak w warunkach fatalnego politycznego nieporozumienia. Oparte było w swym założeniu na najzupełniej mylnej, opacznej i zgoła nonsensownej interpretacji postawy moralno-politycznej wyższych sfer społeczeństwa Królestwa – generalicji, arystokracji, popularnych osobistości spośród członków rządu, sejmu, senatu – interpretacji przyjętej dowolnie, *a priori* i bez wystarczających podstaw przez organizatorów i przywódców spisku powstańczego.

Patriotyczna gotowość do walki narodowowyzwoleńczej rozpowszechniona była w społeczeństwie szeroko, nie sięgała jednak zbyt wysoko. Organizatorzy wybuchu (mimo wszelkich wewnętrznych różnic politycznych w łonie spisku musimy traktować ich łącznie, jako ruch świadomie i szczerze dążący do walki zbrojnej o niepodległość) byli nie tylko zupełnie zdezorientowani co do istoty podziałów i rozwarstwień ideowo-politycznych w społeczeństwie polskim w 1830 roku, ale nawet nie zdawali sobie właściwie sprawy z samego faktu istnienia jakichkolwiek podziałów tego rodzaju. Któż mógł wśród nich przypuścić, że hasło walki o niepodległość nie pociągnie za sobą i tych spośród generałów czy senatorów, którzy w ten czy inny sposób dali dowody swych patriotycznych intencji w ciągu ostatnich lat czterdziestu, poczynając od czasów Sejmu Czteroletniego, w okresie insurekcji 1794 roku, wojen napoleońskich, wreszcie konfliktów politycznych w Królestwie po roku 1815, którzy wielokrotnie stawali w opozycji wobec aktualnej polityki rządu Królestwa i protestowali przeciwko łamaniu polskich praw i polskich nadziei? Spiskowcy oczekiwali oczywiście – jak się im wydawało – rozwoju wypadków: poparcia powstania nie tylko przez większość społeczeństwa, ale również i przede wszystkim przez popularne i uznane za „moralnych przywódców narodu” osobistości spośród legalnej,

umiarkowanej opozycji; sądzili, że ludzie ci sformują rewolucyjny rząd, odwołają się do poparcia całego narodu, energicznie i zdecydowanie pchną sprawę powstania we właściwym kierunku – dokonają tego, co ponad własne siły wydawało się młodym studentom, niższym oficerom i podchorążym – byle tylko wszelkie wahania zostały przekreślone wybuchem zbrojnej walki.

Mit solidarności narodowej oślepiał i prowadził na manowce; trzeba było wszystkich gorzkich doświadczeń 1831 roku, by dopiero w chwili upadku Warszawy stało się jasne, że zmarnowano realną szansę przekształcenia powstania w prawdziwą polityczną i społeczną rewolucję, zdecydowanie rozcinając społeczeństwo na ugodową, zdradziecką mniejszość i walczącą o cele narodowe wszystkimi dostępnymi metodami patriotyczną i postępową większość. Z fatalną lekkomyślnością i krótkowzrocznością, z naiwną wiarą w „patriotyzm” generałów i senatorów Królestwa przywódcy powstańczego spisku kładli nacisk na jedność powstania, dopatrując się w tym szansy działań najskuteczniejszych, nie rozumiejąc, że w ten sposób wprowadzają truciznę kapitulacji do samego centrum ruchu narodowego. Nie pomyśleli o jakimś programie czy manifeście, o jakiejś deklaracji celów ruchu, o stworzeniu własnego rządu, a chociażby własnego tymczasowego komitetu rewolucyjnego. Wszystko to pozostawiono ludziom znanym i popularnym, cieszącym się społecznym autorytetem, desygnowanym – mimo i wbrew ich woli – na przywódców ruchu, ruchu w założeniach swych zupełnie sprzecznego z intencjami i poglądami tych właśnie ludzi.

Wynikało to zresztą z ogólnego kierunku krajowej opinii publicznej w roku 1830. Opinia ta z uporem dopatrywała się ścisłej solidarności ideowo-politycznej między większością społeczeństwa a jego uznanymi przywódcami, po prostu wmawiała im postawę, od której byli jak najdalsi, zupełnie błędnie interpretując niektóre ich posunięcia w minionym piętnastoleciu. Taka tragiczna dezorientacja opinii publicznej kraju występowała zresztą często i zawsze z najgorszymi konsekwencjami w czasie polskich ruchów czy przesilen politycznych o decydującym historycznie znaczeniu. Nigdy jednak nie była tak trwała i tak brzemienna w najstraszliwsze skutki. Zasadnicze nieporozumienie co do intencji oficjalnego kierownictwa powstania przetrwało wszystkie klęski roku 1831 i dopiero w publicystyce Wielkiej Emigracji po trosze zaczęło się wyjaśniać. Opinia publiczna w roku 1830/1831 ulegała złudzeniu, że w łonie powstania istnieją oczywiście różnice poglądów co do metod, ale nigdy co do

celów walki narodowej; dopatrywano się nieudolności, ale z reguły nie złej woli; nie rozumiano, że za wątpliwościami co do możliwości osiągnięcia celów powstania kryć się może umyślne działanie w kierunku zwiczenia realnych szans urzeczywistnienia tych celów. Mechanizm kształtowania się tej opinii jest po dziś dzień niezupełnie wyjaśniony; nic jednak dziwnego, że przed wybuchem powstania tym bardziej nie ośmielano się wątpić w patriotyczne intencje ludzi, których popychano ku sterowi walki narodowowyzwoleńczej.

Dla zrozumienia dziejów powstania 1830 i 1831 roku, dla wyjaśnienia genezy jego klęski i powodów zmarnowania tak olbrzymich szans i możliwości, konieczne jest podkreślenie faktu zasadniczego: wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy, późniejsi członkowie władz narodowych w czasie powstania listopadowego (z wyjątkiem chyba tylko Joachima Lelewela), kierownicy polityki wewnętrznej i zagranicznej powstania, wszyscy generałowie i większość wyższych oficerów armii polskiej w roku 1831 – ludzie, których takim zaufaniem obdarzyli organizatorzy spisku – w noc 29 listopada 1830 roku byli przerażeni i wstrząśnięci wybuchem walki, byli gotowi do najbardziej drastycznych posunięć, by ruch ten natychmiast i w zarodku stłumić, byli zdecydowani na podjęcie zaciętych walk ulicznych z patriotycznym tłumem pospólstwa, ze „zbuntowanymi” oddziałami wojskowymi, na kartaczowanie i szarżę kawaleryjskie przeciwko ludności cywilnej, na artyleryjskie bombardowanie Warszawy – byle tylko o świcie 30 listopada przywrócić w stolicy sytuację z rana dnia 29 listopada.

Stłumienie powstania okazało się niemożliwe, wielki książe Konstanty odmówił interwencji, ruch stał się ruchem ogólnonarodowym – i wtedy zaufanie spiskowców, zaufanie krajowej opinii publicznej, uprzednia milcząca desygnacja do władzy w powstaniu stały się skarbem nieocenionym: w oparciu o to stanowisko opinii publicznej można było utworzyć tymczasową władzę, by prowadzić powstanie w stronę zupełnie przeciwną, niż opinia publiczna oczekiwała, łudząc ją, oszukując i w ostateczności połowicznie jej ulegając. Powstanie roku 1830/1831 w ogóle mogło przetrwać kryzys nocy listopadowej, a potem mimo wszelkich klęsk istnieć przez 10 miesięcy tylko dzięki naciskowi mas ludowych, opinii publicznej, całej aktywnej politycznie części dołów społecznych. Trzykrotnie sprawa powstania została pchnięta naprzód: w noc 29 listopada, gdy pospólstwo Warszawy żywiołowym wystąpieniem wsparło akcję podchorążych i nielicznych sprysiężonych oddziałów wojska, zamieniając pucz wojskowy w ruch powstańczy o znaczeniu ogólnonarodowym;

potem w grudniu 1830 roku, gdy pod naciskiem całej krajowej opinii publicznej sejm uznał powstanie za sprawę ogólnonarodową; wreszcie w styczniu 1831 roku, gdy groza wystąpienia mas ludowych Warszawy zmusiła sejm do pozbawienia Mikołaja I i dynastii Romanowów tronu polskiego. W tych sytuacjach trzeba było ustąpić wobec opinii krajowej, ugiąć się przed zdecydowaną postawą większości społeczeństwa. Ale gdzie tylko było można, oficjalne władze powstania starały się cofać i osłaniały kapitulaniczne koncepcje naczelnego wodza; cofano się więc skutecznie, aż do ostatecznej klęski.

Jest faktem charakterystycznym, że najważniejszy rangą oficer biorący udział w sprzysiężeniu 29 listopada był w stopniu majora. Przywództwa ruchu odmówił nawet znany ze swych postępowych poglądów i uznany za radykała Lelewel, z którym organizatorzy spisku: Wysocki, Zaliwski i Bronikowski, pertraktowali na kilka dni przed rozpoczęciem powstania<sup>1</sup>. Niektórzy z desygnowanych do władzy „przywódców narodu” przed powstaniem otwarcie deklarowali się jako zdecydowani wrogowie jakichkolwiek wyłamania się z obowiązku lojalności wobec cesarza i króla Mikołaja I; rzecz zdumiewająca, że nie otworzyło to nikomu oczu. Po nocy 29 listopada, a zwłaszcza po rozpoczęciu wojny z Rosją, wiele się zmieniło, niektórzy dawni wrogowie powstania szczerze przejęli się patriotycznym zapałem, spośród generałów kilku spełniło z honorem swój obowiązek. Nie można jednak zapominać o faktach, które najlepiej pozwalają ocenić późniejszą rzeczywistą rolę starej kadry wyższych oficerów armii Królestwa Polskiego w czasie wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku. Powstanie listopadowe zastało w służbie czynnej w wojsku polskim pięciu generałów broni, siedmiu generałów dywizji i dwudziestu trzech generałów brygady. Otóż z tej liczby dwóch generałów broni poległo wskutek swej wiernopoddańczej postawy w noc listopadową (Hauke, Potocki), dwóch stawiło się natychmiast w Petersburgu i zadeklarowało swą lojalność wobec cara (Roźniecki, Wincenty Krasiński); jeden (Izydor Krasiński) pozostał w Warszawie, nie brał jednak udziału w żadnych poważniejszych pracach czy działaniach powstańczych, a po kapitulacji Warszawy poddał się dobrowolnie Paskiewiczowi. Spośród generałów dywizji jeden (Kossecki) stawił się również natychmiast w Petersburgu, czterech pozostało zupełnie bezczynnych z powodu zgłoszonej dymisji

<sup>1</sup> W. Tokarz, *Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa*, Warszawa 1925, s. 99–100.

lub swoich specjalnych starań, a tylko dwóch wzięło udział w powstaniu (Kicki, Krukowiecki). Czterech generałów brygady poległo w noc listopadową z rąk podchorążych, jeden walczył czynnie po stronie rosyjskiej (książę Wirtemberski), zdymisjonowanych było dziewięciu, bezczynnych przez cały czas wojny dwóch, a tylko siedmiu wzięło jakikolwiek udział w powstaniu<sup>2</sup>. Wśród pułkowników, podpułkowników i majorów sentymenty polityczne z natury rzeczy były podobne do dominujących w środowisku generałów.

Tragedią powstania listopadowego – skoro musiało się już rozpocząć w warunkach owego fatalnego zdezorientowania opinii publicznej – był wynik belwederskiej operacji spiskowców, godzących na życie wielkiego księcia. Wskutek nieudolności i małej energii zamachowców Konstanty, jak wiadomo, uszedł z życiem. Polityczne konsekwencje tego niepowodzenia były nieobliczalne. Gdyby wielki książę zginął tej nocy pod powstańczymi bagnietami, nie byłoby mowy o jakimkolwiek łudzeniu opinii publicznej możliwościami porozumienia z Mikołajem I i o prowadzeniu pod tą osłoną akcji kapitulacyjnej. Stałoby się jasne, że walka już się rozpoczęła, że będzie prowadzona na śmierć i życie, że trzeba czynić wszystko, by pierwszemu zadać cios podcinający siły wroga. Rzekoma jedność narodowa pękłaby od razu; lojaliści i ugodowcy musieliby wystąpić czynnie przeciwko powstaniu i paść w walce z masami ludowymi albo też schronić się do Petersburga, w każdym przypadku oczyszczając teren polityczny Królestwa, gdzie siłą rzeczy musiałby uformować się nowy, rewolucyjny i gotowy do radykalnego działania rząd narodowy. Mikołaj, nieobliczalny, fanatyczny, skłonny do nieprzemyślanych decyzji, pchnąłby niewątpliwie przeciwko Królestwu najbliższe granicy, słabe i niewsparte należycie siły rosyjskie (korpus Rosena, który po otrzymaniu wieści o powstaniu został zresztą rzeczywiście skierowany do natychmiastowej akcji na pomoc wielkiemu księciu, a zatrzymany został po otrzymaniu wiadomości o bezpiecznym wyjściu Konstantego z Królestwa). Siły te zostałyby oczywiście rozbite doszczętnie na terenie Królestwa, co znacznie osłabiłoby późniejsze rosyjskie możliwości operacyjne. Wreszcie garnizony rosyjskie na ziemiach Królestwa Polskiego zostałyby rozbrojone lub rozbite, co znowu zmniejszyłoby siły rosyjskie o kilkanaście tysięcy ludzi, nie mówiąc już o dodatkowym zaopatrzeniu wojsk polskich w zdobyczną broń.

<sup>2</sup> W. Tokarz, *Armia Królestwa Polskiego (1815–1830)*, Piotrków 1917, s. 66–67.



Co prawda, sam pomysł zamachu na życie Konstantego i rozpoczęcia w ten sposób narodowego powstania spotkał się potem z krytyką. Między innymi generał Ignacy Prądzyński, znakomity umysł wojskowy, politycznie niestety mniej uzdolniony, utrzymywał, że nonsensem było godzenie na życie cesarzewicza, skoro żywy a uwięziony przedstawiałby on politycznie wartość nieocenioną. Według tej koncepcji spiskowcy winni Konstantego uwięzić i przedłożyć mu do podpisu manifest zawierający następujące decyzje: w powołaniu się na obietnice Aleksandra I natychmiastowe wcielenie ziem litewsko-ruskich do Królestwa Polskiego; rozwiązanie Rady Administracyjnej i powołanie Rządu Tymczasowego pod przewodnictwem księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, z udziałem w tym rządzie dwóch rewolucjonistów – przywódców spisku; rozwiązanie Korpusu Litewskiego i wcielenie go do wojska polskiego, z rozkazem wspólnej koncentracji na dawnej granicy polsko-rosyjskiej nad Bugiem. Konstanty, zastraszony i zdezorientowany, manifest taki niewątpliwie by podpisał (co do tego rzeczywiście nie może być chyba wątpliwości, zresztą autentyczność podpisu cesarzewicza miała w takiej sytuacji mniejsze już znaczenie); po ogłoszeniu manifestu przyszedłby czas na pertraktacje z Mikołajem, przy czym cesarza dyskretnie by powiadomiono, że w razie wrogiu Polsce stanowiska „będzie miał przeciwko sobie **cesarza** Konstantego, dopominającego się praw swoich do tronu rosyjskiego”<sup>3</sup>.

Plan taki, gdyby się udało go zrealizować, byłby niewątpliwie rozwiązaniem idealnym i rokującym powstaniu sukcesy wprost olśniewające. Rzecz w tym, iż w ówczesnym układzie sił politycznych w Królestwie był do przeprowadzenia niemożliwy. Wymagał bowiem już w założeniu uczestnictwa w spisku i gotowości do działania przynajmniej kilkunastu wybitnych przedstawicieli generacji i senatu, którzy by – przy ówczesnej, ciągle pamiętajmy, dezorientacji opinii publicznej – przyjęli na siebie odpowiedzialność za zamach stanu i zasłonili oddziały spiskowe przed kontrakcją ze strony elementów lojalistycznych i ugodowych. Nie ulega wątpliwości, że akcja taka przedsięwzięta samodzielnie przez spiskowców skończyłaby się zgoła groteskowo: Konstanty manifest by podpisał, lecz w godzinę później zbiegliby się w miejscu jego internowania senatorzy z księciem Adamem na czele i generałowie z Józefem Chłopickim, rozpędziliby podchorążych i studentów, podarli manifest, rzucili się do nóg cesarzewicza, błagając

<sup>3</sup> *Pamiętniki generała Prądzyńskiego*, oprac. B. Gembarzewski, wyd. 2, t. 1, Kraków [1909], s. 211–212.

o wstawiennictwo do cesarza i łaskę dla Królestwa, odprowadzili go w triumfie do Belwederu, a przywódców spisku oddali natychmiast pod sąd wojskowy... Wątpliwe mimo wszystko, czy w takiej sytuacji podchorążowie zdecydowaliby się na obrócenie bagnatów przeciwko Chłopickiemu i Czartoryskiemu, jak zwrócili je przeciwko generałom Trębickiemu czy Potockiemu w noc listopadową.

Tak więc rzeczywiście zamach na życie Konstantego i atak na oddziały rosyjskie pozostawał jedyną realną drogą rozpoczęcia powstania, jeżeli chciało się do tego powstania wezwać masy ludowe i **zmusić** „moralnych przywódców narodu”. Wynik zamachu mógł być trojaki: Konstanty mógł zginąć, mógł ująć z życiem i natychmiast przystąpić do energicznego tłumienia powstania, mógł ocaleć, ale wycofać się na granice miasta i czekać, tak jak w rzeczy samej uczynił. Pierwsza ewentualność, bez wątpienia najszczęśliwsza dla powstania, jednak się nie ziściła. Rozpatrzmy więc skutki, jakie mogły i musiały wywołać dwa pozostałe ewentualne rozwiązania sytuacji.

Rząd Królestwa, generalicja, senat – wszyscy oczekiwali od Konstantego akcji szybkiej, zdecydowanej i brutalnej. Wydawało się rzeczą niemożliwą, by wielki książe mógł uchylić się od próby stłumienia powstania za wszelką cenę, wszelkimi dostępnymi mu środkami. Musiały go przecież skłaniać do tego zarówno rosyjskie interesy państwowe, jak i osobiste cechy charakteru, upodobanie do działań brutalnych i bezwzględnych. Skoro książe ocalał w chwili zamachu na Belweder, sprawa powstania była tym bardziej przegrana – tak rozumowali wszyscy ugodowcy i lojaliści w Warszawie w nocy z 29 na 30 listopada 1830 roku. Uniknięcie przez nich gniewu Mikołaja zależało od jak najszybszego zdławienia ruchu, od bezwzględnego zdruzgotania spisku, od udowodnienia lojalności rządu Królestwa wobec cesarza przez nieliczące się z żadnymi stratami zmasakrowanie zbuntowanych tłumów.

Władysław Zamoyski, adiutant Konstantego (a poza tym siostrzeniec przyszłego prezesa Rządu Narodowego, księcia Adama Jerzego Czartoryskiego), w czasie walk nocnych uznał za swój pierwszy obowiązek stanąć u boku wielkiego księcia. Posłany przez niego z powrotem do miasta, odszukał generała Stanisława Potockiego, prowadzonego przez podchorążych, na próżno usiłujących nakłonić go do objęcia dowództwa ruchu. Nad Potockim wisiała już groza śmierci, którą ponieść miał z powstańczej ręki w kilka godzin później. Ale jedyną troską generała było w tym momencie znalezienie środków stłumienia powstania. Zdumiony był bezczynnością wojsk rosyjskich.

Powiedz wielkiemu księciu – radził śpiesznie i nerwowo Zamowskiemu – żeby nie liczył na naszą piechotę do tłumienia powstania. Swoi do swoich strzelać nie będą. Ale wielki książę ma dosyć jazdy, może bez strzału, prostym pędzeniem szwadronami klusem raz po raz po ulicach ludność rozproszyć, choć ta już arsenał zdobyła. Jedyny to dla niego ratunek, ale niech czasu nie traci, od trzech godzin powinien to być zrobić, nie przestając domagać się tego...<sup>4</sup>.

Tak wyglądał testament polityczny generała „Stasia” Potockiego; trzeba stwierdzić, że jak najbardziej zasłużenie imię jego wraz z imionami innych polskich generałów widniało potem na pomniku ku czci wiernych sług cara poległych w noc listopadową, który to pomnik wzniesiono w Warszawie za rządów Paskiewicza. Przypadek tylko zrządził, że dziesiątki innych wyższych wojskowych i polityków, których los zmusił potem do objęcia oficjalnego kierownictwa powstania, uniknęły tego zaszczytu. W noc listopadową wszyscy oni z serca i duszy dzielili poglądy i sentymenty generała Potockiego.

Padło tej nocy z rąk powstańców sześciu generałów polskich (Stanisław Potocki, Józef Nowicki, Ignacy Blumer, Maurycy Hauke, Stanisław Trębicki i Tomasz Siemiątkowski) oraz pułkownik Filip Meciszewski. Tylko Nowickiego można uznać za ofiarę przypadku, gdyż zginął wskutek fonetycznego podobieństwa nazwiska do zniechwalonego generała Lewickiego. Hauke i Blumer zapłacili życiem za całą swoją piętnastoletnią konduite przedpowstaniową. Siemiątkowski na równi z Potockim organizował tłumienie powstania i świadomie wybrał śmierć zamiast przejścia na stronę narodową. Utalentowany generał Trębicki nie chciał „złamać przysięgi” złożonej Mikołajowi I; powinność wobec „najjaśniejszego pana” z całą świadomością przełożył ponad obowiązek wobec Ojczyzny. Meciszewski strzelał do podchorążych z pistoletu<sup>5</sup>. Wszyscy ci ludzie wiązali swój los i interes osobisty z rzeczywistością polityczną, która 29 listopada 1830 kończyła ostatecznie swoją egzystencję.

Pomnik z nazwiskami generałów poległych za cara w noc listopadową rozebrano w Warszawie dopiero w roku 1917. Wielka szkoda! Pomnik ten powinien być pozostać w Warszawie na zawsze... na wieczną rzeczy pamiątkę, aby przyszłe pokolenia odpowiednio

<sup>4</sup> Ze wspomnień Władysława Zamoyskiego, w: *Jenerał Zamoyski 1803–1868*, t. 1, Poznań 1910, s. 374.

<sup>5</sup> W. Tokarz, *Sprzysiężenie Wysockiego...*, dz. cyt., s. 183–185, 212–216.

kojarzyły te nazwiska z zasługami ich nosicieli. Generalowie Potocki, Siemiątkowski *et consortes* uczciwie i rzetelnie zasłużyli na tytuł wiernych sług „najjaśniejszego pana” Mikołaja I. Krzywdą byłoby pozbawienie ich w pamięci potomnych tego – ofiarą życia okupionego – tytułu.

Prawie wszyscy historycy polscy i rosyjscy, którzy pisali do-tychczas o wypadkach nocy listopadowej, są zdania, że Konstanty mógł w zarodku stłumić powstanie, mógł zdusić rozruchy, rozproszyc tłumy – gdyby tylko z całą energią i zdecydowaniem przystąpił do działania, gdyby wykorzystał do walki wszystkie siły wojskowe, którymi mógł dysponować. „Konstanty istotnie [...] ocalił powstanie w pierwszych, najcięższych jego chwilach” – napisał jeden z najwybitniejszych polskich historyków<sup>6</sup>. Czy istotnie? Wątpić należy, czy wielki książę był w stanie – nawet używając wszystkich oddziałów wojskowych, które gotowe były walczyć przeciwko powstaniu, i nie wahając się przed wydaniem rozkazów najdrastyczniejszych – stłumić rozruchy w Warszawie w momencie, gdy na ulice wyległ kilkunasotysięczny tłum, zbrojnie wspierając akcję sprzysiężonych polskich oddziałów wojskowych. Nie ulega wątpliwości, że w chwili rozpoczęcia powszechnej, otwartej walki między siłami polskimi i rosyjskimi wszystkie oddziały polskie wyłamałyby się z posłuszeństwa wobec stojących u boku Konstantego swoich dowódców i przyłączyły do powstania – co do tego nie miał wątpliwości nawet generał „Stas” Potocki. Plebs miejski zdecydowany był na walkę uliczną, czuł swoją siłę i nie lękał się bynajmniej starcia z regularnymi oddziałami. Pamiętać należy, że w opinii publicznej żywa była świadomość doświadczeń belgijskich z września 1830 roku, kiedy to w Brukseli zrewolucjonizowane masy ludu miejskiego nie uległy przeważającym siłom regularnych wojsk holenderskich i po zaciekłych kilkudniowych walkach wyparły wojska nieprzyjacielskie ze stolicy. Lud Warszawy zdawał sobie sprawę z najnowszej lekcji historii: był przekonany, że walka może być krwawa, ale zwycięstwo musi być w końcu po jego stronie. Co więcej, o wydarzeniach belgijskich doskonale wiedzieli również i żołnierze rosyjscy, przystępowaliby więc do walki w przekonaniu o nieuchronności klęski. Te czynniki moralne ważyłyby znacznie na losach walki.

Wydaje się dzisiaj rzeczą oczywistą, że Konstanty w noc listopadową nie dysponował już szansą stłumienia ruchu. Walka uliczna

<sup>6</sup> Tamże, s. 222.

musiałyby się skończyć, bez względu na polskie straty, rozgromieniem rosyjskiego garnizonu. I niezależnie od tego, w czym dopatrywać się będziemy źródeł wahania wielkiego księcia, przyznać trzeba, że z punktu widzenia rosyjskich cesarskich interesów państwowych postąpił słusznie, rezygnując z walki i wycofując się ze stolicy na czele garnizonu rosyjskiego. Postąpił nie tylko słusznie: doświadczenie następnych 10 miesięcy jasno wykazało, że posunięcie, pozornie mało duszne, było – właśnie z punktu widzenia cesarskiej racji stanu – po prostu genialne, było decydującym ciosem zadany powstaniu.

Gdy Władysław Zamoyski przekazał Konstantemu słowa generała Potockiego, wielki książę odpowiedział: „Żaden Rosjanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się sami między sobą rozprawią...”<sup>7</sup>. Ten motyw: sami załatwcie tę sprawę – dominował później we wszystkich wypowiedziach Konstantego w czasie pertraktacji z przedstawicielami strony polskiej. Było to posunięcie tak zdumiewająco celne, że musi budzić podziw dzisiejszego historyka, znającego przecież i wydarzenia następnych miesięcy, i cały mechanizm społeczno-polityczny, który miał się uruchomić w wyniku nocy 29 listopada. Przecież gdyby dzisiejszemu historykowi wypadło zasiąść w radzie wojennej wielkiego księcia i rozważyć kroki, jakie należało podjąć, by ratować na terenie Polski interesy cesarza Mikołaja I, by jak najskuteczniej zapobiec zwycięskiemu działaniu powstania – nie mógłby on poradzić niczego innego niż potwierdzić to, co instynktownie (a raczej przypadkowo) zdecydował Konstanty: niech Polacy rozstrzygają tę sprawę **między sobą** – to znaczy w walce politycznej i społecznej między sobą; niech do steru powstania dojdą siły, które ten ruch okiełznają, niech nierozważne kroki militarne broń Boże nie zwichną szansy, którą siłom ugodowym dawały możliwości pozostania i działania w Warszawie – możliwości prowadzenia polskiej opinii publicznej na manowce, a powstania ku klęsce...

Gdyby 29 listopada wielki książę zdecydował się rzucić do walki przeciwko powstaniu wszystkie siły, którymi mógł dysponować, gdyby zdecydował się stłumić powstanie z całą bezwzględnością, której pozwalało po nim oczekiwać doświadczenie ubiegłego piętnastolecia, znany powszechnie jego charakter i usposobienie – losy powstania i losy sprawy polskiej w XIX wieku wyglądałyby zapewne zupełnie odmiennie, niż można dziś wyczytać we wszystkich podręcznikach historii. W Warszawie trwałyby przez kilka dni zacięte, krwawe

<sup>7</sup> *Jenerał Zamoyski...*, dz. cyt., s. 376.

walki. Na stronę powstania, na stronę sprzysiężonych wojskowych oddziałów polskich i mas plebejskich uzbrojonych w arsenał i organizujących się żywiłowo, przeszłyby prędko wszystkie inne oddziały polskie, na razie zgromadzone wokół wielkiego księcia pod komendą lojalnych, gotowych do działania przeciwko ludowi stolicy wyższych oficerów polskich. Po kilku dniach mury Warszawy byłyby poważnie nadszarpnięte, nad Warszawą widać by było łunę pożarów, ale pierwsza faza powstania byłaby niewątpliwie zwycięska, a perspektywy dalszej walki pełne nadziei. Nieliczny garnizon rosyjski zostałby doszczętnie rozbity w walce z ludem Warszawy albo, poszczerbiony i zmniejszony do jednej trzeciej czy jednej czwartej, cofał się ku granicy cesarstwa, eskortując nie tylko wielkiego księcia, ale i tych Polaków, którzy czuli się przede wszystkim poddanymi Mikołaja I.

Albowiem decyzja Konstantego podjęcia natychmiastowej walki przeciwko powstaniu przecinałaby sprawę nie tylko militarnie, ale i politycznie. Niezdecydowani stanęliby przed koniecznością natychmiastowej decyzji: przeciwko powstaniu, przeciwko ludowi, u boku Konstantego i Mikołaja, ze świadomością wszystkich skutków tej postawy – albo też politycznie i ideowo razem z ludem, przy uznaniu społecznych konsekwencji tego kroku, w gotowości do jak najradykałniejszego militarnego działania przeciwko Mikołajowi. Zdraycy ujawniliby od razu swoje prawdziwe oblicze. Społeczeństwo polskie rozdzieliłoby się na dwie przeciwstawne siły, powstanie zmieniłoby się w rewolucję. Czartoryski nigdy nie byłby prezesem powstańczego Rządu Narodowego, Chłopicki nie byłby nigdy dyktatorem, Skrzynecki naczelnym wodzem. Wszyscy trzej (a z nimi dziesiątki i setki innych lojalnych poddanych cara Mikołaja I) znaleźliby się najprawdopodobniej w Petersburgu, a przy gorszym dla siebie obrocie rzeczy może nawet w warszawskim ratuszowym więzieniu. Ci spośród generałów i senatorów, którzy umieliby przełamać swoje uprzedzenia społeczne i ideowe, znaleźliby się w obozie rewolucyjno-powstańczym; inni musieliby zginąć w walce albo się później wynarodowić. Utworzony w Warszawie rząd powstańczy byłby rządem rewolucyjnym, mobilizującym do walki przeciwko caratowi wszystkie siły Królestwa Polskiego i niewahającym się działać radykalnie. Skończyłaby się dezorientacja ludowej opinii publicznej. Społeczeństwo polskie już w pierwszej chwili powstania pozbyłoby się elementów antynarodowych, reakcyjnych, ugodowych i kapitulanczkich.

Takie byłyby skutki „twardej” decyzji Konstantego, gdyby wielki książę nie był tak „małoduszny”... Ta „małoduszność” Konstantego,

której wrogowie wielkiego księcia w Petersburgu użyli następnie do ostatecznego politycznego jego pognębienia, w rzeczy samej ocaliła panowanie Mikołaja I w Polsce. Wycofując się z Królestwa, unikając walki, nie kompromitując tych sił politycznych w Warszawie, na które carat mógł jak najpewniej liczyć, nie burząc mitu postawy patriotycznej „duchowych przywódców narodu”, pozwalając objąć im kierownictwo powstania i ogłupić do szczytu krajową opinię publiczną – wielki książę kładł fundamenty pod Ostrołękę i warszawską wrześnieową kapitulację 1831 roku. Gdyby Konstanty podjął tę decyzję świadomie, przewidując wszystkie jej konsekwencje, byłaby to decyzja polityczna tak genialna, że trudno znaleźć jej podobną w dziejach Europy. Wydaje się jednak rzeczą niewątpliwą, że wielki książę uchylił się od walki z przyczyn znacznie pospolitszych: zabrakło mu po prostu siły woli i odwagi stawienia czoła niebezpieczeństwu, którego nigdy przedtem nie doświadczył. Zresztą nie mógł podjąć tej decyzji świadomie przede wszystkim dlatego, że jedyna nadzieja jego politycznego ocalenia wiązała się jednak w noc listopadową z ewentualnością natychmiastowego rozbicia polskiego powstania. Wycofując się bez próby zbrojnego stłumienia polskiego ruchu, Konstanty wszczepiał mu śmiertelną truciznę, ale sam podpisywał na siebie wyrok politycznej śmierci.

Konstanty uchylił się od walki, nie wyobrażając sobie możliwości zwrócenia wojsk rosyjskich przeciwko „swojej” polskiej armii. Być może przeważały wówczas w duszy wielkiego księcia motywy szlachetniejsze, być może zawahał się przed wydaniem rozkazu, wskutek którego Polacy i Rosjanie znowu stanęliby naprzeciw siebie do śmiertelnej walki. Jest wszelako faktem oczywistym, że z powodu tego – w motywach swych być może szlachetnego – odruchu Konstanty w noc 29 listopada zawazył na losach Polski ciężej i tragiczniej niż przez cały okres swej piętnastoletniej tyranii w Królestwie Polskim.

## 2.

Okolo północy z dnia 29 na 30 listopada 1830 roku Władysław Zamojski przekazał słowa wielkiego księcia („niech Polacy między sobą załatwią tę sprawę”) księciu Adamowi Czartoryskiemu. Zawiadomiono zaraz o tym prezesa Rady Administracyjnej Walentego Sobolewskiego i księcia Ksawerego Lubckiego; ten ostatni dopytywał się pilnie, czy powstańcy utworzyli już własny rząd, a usłyszawszy niewiarygodnie



pomyślną nowinę, iż nie tylko nie utworzyli, ale nawet oczekują inicjatywy ze strony „popularnych osobistości”, uznał, że sytuacja rozwija się nadspodziewanie pomyślnie, że korzystać trzeba natychmiast z nadarżającej się okazji. Około godziny drugiej w nocy rozpoczęło się posiedzenie Rady Administracyjnej. Zaraz potem ruszyła do Konstantego delegacja rządu w osobach Lubeckiego i Czartoryskiego.

Jeden z tych dwóch delegatów miał potem, przez cały decydujący okres wojny polsko-rosyjskiej, pełnić funkcję prezesa Rządu Narodowego, stać na czele władz cywilnych powstania, odpowiadać przed narodem i historią za losy walki. Ale w noc listopadową był solidarny z Lubeckim, którego postawa polityczna streszczała się w wierności dla „prawowitego monarchy”<sup>8</sup>. Obaj zażądali od wielkiego księcia natychmiastowej akcji zbrojnej przeciwko powstaniu; usłyszeli zdecydowaną odmowę. Władysław Zamoyski spytał wychodzących z pokoju Konstantego, jakie są wyniki pertraktacji; Lubecki i Czartoryski odpowiedzieli:

Kilkakrotnie powtórzył wielki książę, że się do niczego mieszać nie chce, chociażśmy mu przedstawiali, że on jeden siłą rozporządza; że zaś my żadnej siły nie posiadamy, zmuszeni będziemy wejść w układy z powstańczym ruchem<sup>9</sup>.

Taka była geneza „władz narodowych” w powstaniu listopadowym; w rękach ludzi, którzy taką postawę przyjęli w nocy 29 listopada, władza pozostała aż do ostatniej chwili walki w 1831 roku.

Rada Administracyjna przybrała do swego składu kilka popularnych osobistości (między innymi Niemcewicza i generała Chłopickiego) i zaraz ogłosiła odezwę do mieszkańców Warszawy. Zaczynała się ona od słów: „Równie smutne jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy spowodowały rząd do przybrania do grona swego obywateli z zasług swych znanych...” – A dalej „władza narodowa” wzywała:

<sup>8</sup> Najwybitniejszy polski badacz dziejów politycznych XVIII i XIX wieku Szymon Askenazy postawił co prawda tezę, że Lubecki po krótkim wahaniu przyjął inną linię polityczną: „zbroić się i z armią ruszyć ku wschodowi; rokować i posłów wyprawić na zachód. Sobie obiecał tymczasem pośrednią misję petersburską” (S. Askenazy, *Zabiegi dyplomatyczne polskie, 1830–1831*, „Biblioteka Warszawska” 1902, t. 3, s. 420–421). Tezy tej jednak źródłowo nie udokumentował, odkładając to do innej, nieureczywistnionej okazji, a wobec całej postawy politycznej Lubeckiego wydaje się ona bardzo wątpliwa.

<sup>9</sup> *Jenerał Zamoyski...*, dz. cyt., s. 383.



Chcielibyście dać światu widok największego dla kraju nieszczęścia, domowej niezgody? Własnym umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie! Wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminają z nocą, która je pokrywała...<sup>10</sup>.

Były to słowa wprost przerażające opinię publiczną stolicy; zdawało się rzeczą niewiarygodną, aby wypadki nocy listopadowej mógł jakkolwiek Polak nazwać „smutnymi”, by mógł zawracać falę narodowego powstania. Dezorientacja postępowej opinii publicznej była jednak tak poważna, iż w postawie rządu Królestwa dopatrzono się działania w stanie wyższej konieczności politycznej, aktu o znaczeniu jedynie taktycznym, wobec grozy zewnętrznej maskującego rzeczywiste patriotyczne intencje członków rządu, aby tym skuteczniej działać w kierunku realizacji interesów narodowych. Tylko dzięki tej dezorientacji zreorganizowany rząd Królestwa mógł pozostać przy władzy i zacząć działać w kierunku zwichnięcia całego ruchu.

Następne dni dowiodły, że siły antynarodowe mogły liczyć na zafanie opinii publicznej. W ciągu kilku dni dla niektórych działaczy ruchu narodowowyzwoleńczego stało się jasne, że u władzy znaleźli się kontrrewolucjoniści, że powołany na naczelnego wodza generał Chłopicki prowadzi powstanie ku kapitulacji, że obalenie dotychczasowego rządu i ustanowienie nowego jest warunkiem *sine qua non* powodzenia powstania. Ale gdy Maurycy Mochnacki powiedział to na posiedzeniu nowo utworzonego Towarzystwa Patriotycznego, grupującego przecież elementy szlachecko-rewolucyjne i burżuazyjno-rewolucyjne, zwolenników zdecydowanej walki – omal nie został zlinczowany przez własnych partyjnych towarzyszy. Okrzyki „Oszczerca! Terrorysta! Niech żyje książę Adam i Chłopicki!” najlepiej świadczyły o kompletnym obałamuceniu ludzi, którzy ofiarnie rozpoczęli powstanie. Gdy nazajutrz Mochnacki podjął ostatnią rozpaczliwą próbę obalenia rządu, porywając za sobą podchorążych i prowadząc ich do siedziby rządowej na Placu Bankowym – „ażebym pewien mózg finansowy [Lubecki] prysnął, jeżeli nie pod same gwiazdy, według wyrażenia Heinego, to przynajmniej pod sklepienie bankowe i tym sposobem zreflektował inne mózgi mniej zatwardziałe” – przed maszerujących podchorążych rzucił się na kolana zacny,

<sup>10</sup> M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*, t. 2, Poznań 1863, s. 55.

ofiarny, ale niesłuchanie ograniczony i mało inteligentny bohater nocy listopadowej, Piotr Wysocki, błagając, by nie dawali przykładu niesubordynacji, by ufali rządowi, który „działa rewolucyjnie”; podchorążowie ulegli tej perswazji i opuścili Mochnackiego<sup>11</sup>.

U władzy znaleźli się wyłącznie przeciwnicy powstania i wojny z carem, niemniej jednak wyróżnić wśród nich można dwa odłamy. Do najbardziej konsekwentnych należeli zwolennicy natychmiastowej bezwarunkowej kapitulacji, brutalnego okiełznania mas ludowych, zdania się na łaskę i niełaskę cesarza, który według swej najwyższej woli zadecyduje potem o losach Królestwa. Ten pogląd reprezentował bezgranicznie umiłowany przez lud w grudniu 1830 roku generał Józef Chłopicki, zgodnie z wolą powszechną wypchnięty na stanowisko dyktatora powstania.

W otoczeniu księcia Adama Czartoryskiego wytworzyła się jednak inna koncepcja: skoro powstanie już wybuchło, niebezpiecznie i niecelowo byłoby odłączać się zupełnie od narodu i jawnie działać przeciwko jego nadziejom; trzeba ograniczyć działania rewolucyjne, ale zażądać od Mikołaja I pewnych ustępstw, przede wszystkim poszanowania konstytucji, a może nawet spełnienia obietnicy Aleksandra I: włączenia do Królestwa ziem litewsko-ruskich; szanować jednak trzeba konsekwentnie również i inne postanowienia traktatu wiedeńskiego z 1815 roku. Jeśli Mikołaj I te żądania przyjmie, Królestwo powróci do posłuszeństwa.

Oczywiście nikt spośród wyznawców tego programu nie brał pod uwagę ewentualności najbardziej prawdopodobnej: bezwzględnego odrzucenia przez cara jakichkolwiek żądań polskich i natychmiastowej akcji zbrojnej przeciwko Polsce. Zdawało się im, że car musi z Królestwem pertraktować i przyjmując polskie propozycje, że inaczej postąpić nie może. Toteż – ich zdaniem – nie można było uczynić niczego, co by paliło mosty między Warszawą a Petersburgiem. Nie wolno było targnąć się na osobę i siły wielkiego księcia Konstantego, nie wolno było przekroczyć granicy Królestwa, nie wolno było naruszyć dotychczasowej struktury władz rządowych; wszystko musiało być przygotowane na powrót Mikołaja do Warszawy, oczywiście powrót w charakterze konstytucyjnego monarchy, uprzejmie przyjmującego wszystkie polskie żądania.

Jedna z decyzji księcia Adama Czartoryskiego może być tu bardzo pomocna dla ukazania taktyki „umiarkowanych ugodowców”

<sup>11</sup> Tamże, s. 127 i nast.

w pełnym świetle. Otóż w ręce władz polskich wpadły papiery dyplomatyczne Konstantego, dotyczące rosyjskiej polityki zagranicznej od roku 1825. Były to dokumenty bezcenne, bo ujawniające dosłownie wszystkie tajniki polityki petersburskiej; Mikołaj od początku panowania nadsyłał bratu do Warszawy odpisy wszystkich dokumentów politycznych i całej korespondencji dyplomatycznej rosyjskiej. Papiery te po nocy 29 listopada złożono w Pałacu Namiestnikowskim i oddano pod nadzór Lelewela. Były to dokumenty, które mogły w decydujący sposób zwichnąć rosyjską politykę zagraniczną; ujawniona w nich była między innymi cała dwulicowa gra rosyjska wobec Austrii w czasie wojny tureckiej; opublikowanie, a choćby tylko poufne przekazanie tych dokumentów rządowi wiedeńskiemu mogło spowodować jawny i ostry konflikt między Austrią a Rosją, a więc dostarczyć Polsce wsparcia niesłychanie potężnego. Ale dopiero w końcu grudnia 1830 roku, gdy nadeszły już z Petersburga informacje o ostrym ultimatum Mikołaja do ludności i rządu Królestwa, powołano tajną komisję dla przejrzenia tych dokumentów. Jeden z jej członków pisał potem: „Książę Czartoryski zalecał nam jak największą tajemnicę; żądał on, aby tak wyjmować i tak w teki układać na powrót wyjęte papiery, ażeby nikt poznać nie mógł, że ruszanymi były”. Działo się to w momencie, gdy wojska rosyjskie już maszerowały w kierunku granicy polskiej, gdy Mikołaj wydał rozkazy bezwzględного zniszczenia polskiego powstania. Nie przeszkadzało to Czartoryskiemu troszczyć się o bezpieczeństwo cesarskich dokumentów. Wiązało się to z naiwną, śmieszną nadzieją, że konflikt z carem zostanie jednak pokojowo załagodzony, że cesarzewicz Konstanty wróci do Warszawy, że Królestwo w nieco ulepszonych warunkach ustrojowych zażywać będzie dalej pod berłem najmiłościwszego cesarza i króla błogiego praworządnego spokoju.

Podobnie jak sumienny generał Chłopicki w takiej właśnie nadziei wzdragał się przez niewczesną, może jeszcze niepotrzebną reorganizację nadwerżyć normalne kadry armii Jego Królewskiej Mości – pisał Askenazy – tak samo poniekąd Czartoryski, sumienny minister, wzdragał się przez przedwczesną, jeszcze może zbytętną niedyskrecję zmącić linie wytyczne dyplomacji Jego Cesarzowskiej Mości<sup>12</sup>.

<sup>12</sup> S. Askenazy, *Zabiegi dyplomatyczne polskie...*, dz. cyt., s. 442.

Zresztą dokumentów tych nie wykorzystano nigdy, nawet w czasie otwartej wojny polsko-rosyjskiej; lękano się zadać carowi aż tak bolesny i skuteczny cios!

O ile jawni kapitulanci byli swojego rodzaju realistami, o tyle arystokratyczni zwolennicy „zbrojnej ugody”, „wymuszonego porozumienia”, „wojny króla konstytucyjnego Mikołaja I z cesarzem absolutnym Mikołajem I” łudzili się i oszukiwali w sposób zgoła przerażający. Chłopski mógl liczyć na przebaczenie, gdyby rzucił się do nóg cesarza z błaganiami o łaskę, ze słowami: „uczyniłem wszystko, co mogłem, by zdławić powstanie!”. Ale Czartoryski – wszakże polityk i dyplomata wielkiej klasy, znający doskonale Rosję, dwór carski, usposobienie Mikołaja I i mechanizm wszelkich konfliktów międzynarodowych – dał dowód niczym nieusprawiedliwionego zaślepienia, sądząc, że będzie mógl pertraktować z carem o prawa konstytucyjne Królestwa, a potem powitać go w Warszawie jako przedstawiciel społeczeństwa polskiego, które zmusiło monarchę do ustępstw. Działanie takie było bezsensowne, gdyż pozbawiało powstanie wszelkich szans zwycięstwa, a zwolenników tego programu – jednocześnie wszelkich nadziei na carskie przebaczenie. Łaskę carską można było uzyskać tylko przez natychmiastowy wyjazd do Petersburga i odcięcie się od polskiego społeczeństwa; uczestnicząc w „samozwańczym rządzie” w Warszawie, skwapliwie ograniczając się do pozornych działań wojennych i wysyłania apeli do dworów zachodnioeuropejskich, „umiarkowani ugodowcy” musieli spowodować klęskę – a wraz z klęską doczekać się dla siebie wyroków śmierci carskich trybunałów, wyroków co prawda zaocznych.

Polityczną gwiazdą przewodnią dla tej grupy ludzi była niepojęta, zdumiewająco naiwna wiara w moc i pozytywne wartości traktatu wiedeńskiego 1815 roku. Wydawało się im, że zbawieniem sprawy polskiej w roku 1831 może być tylko interwencja mocarstw zachodnich, że tylko zdecydowana akcja dyplomatyczna Wiednia, Paryża i Londynu może wpłynąć na Petersburg i skłonić dwór carski do uznania polskich pretensji. Sama koncepcja interwencji dyplomatycznej jako czynnika finałowego, pośredniczącego w pertraktacjach między Polską a Rosją, nawiązującego kontakt między obu walczącymi stronami i przedstawiającego do rozważenia rządowi rosyjskiemu polskie propozycje i żądania, nie była co prawda pomysłem nierealnym – wynikała z doświadczenia polityki międzynarodowej ostatnich kilkunastu lat. Wskazywało ono, że po przesileniu politycznym i militarnym w konflikcie między dwiema stronami potrzebne było

zwykle pośrednictwo trzeciego czynnika, pośrednictwo umożliwiające oficjalne uznanie nowego stanu faktycznego. Rzecz w tym, iż „władze narodowe” powstania 1830/1831 roku wykombinowały sobie naiwnie, że interwencja ta wszystko sama załatwi, że wystarczy jedynie trwać przy swoich żądaniach i czekać z bronią w rękę, nie drażniąc jednak zbytnio cesarza i dworu rosyjskiego, co więcej, że właśnie przez jak największe umiarkowanie i powściągliwość, przez okazanie całej Europie polskiego szacunku dla traktatu wiedeńskiego 1815 roku skłoni się dwory do interwencji. Otóż oba te założenia były z gruntu fałszywe, a opierając się na nich, musiano działać w kierunku zgoła przeciwnym do zamierzonego. Było przecież rzeczą oczywistą – już wówczas, w ogniu walki, dla wszystkich co bardziej bystrych i „zapalonych” głów, które, jak później pokazało doświadczenie historyczne, lepiej rozumiały sytuację niż umysły starych, umiarkowanych polityków „realistów” – iż interwencję dworów zagranicznych, inicjatywę mediacyjną z ich strony, spowodować może jedynie jak najenergiczniejsze własne działanie militarne i polityczne przeciwko Rosji, to znaczy właśnie jak najdalej idące naruszenie w Europie Środkowej stanu rzeczy, który ustalił kongres wiedeński w 1815 roku.

Jest bardzo znamienne, że wśród aktywnych politycznie środowisk Królestwa Polskiego było niemało ludzi przeświadczonych, że zamykanie ruchu narodowego w granicach ośmiu województw musi doprowadzić do klęski. Już 4 grudnia 1830 roku Tomasz Łubieński pisał do ojca:

Jeżeli to powstanie ma tylko miejsce w Królestwie Polskim terazniejszym, to wkrótce zalani będziemy hufcami nieprzyjacielskimi bez sposobu bronięcia się skutecznego; jeżeli zaś rozciągnie to się i na prowincje dawne polskie, toby mogło może z tego wszystkiego wypłynąć jakie dla kraju dobro<sup>13</sup>.

Niestety, owo „dobro dla kraju” musiało pociągnąć za sobą skutki społeczno-polityczne, przed którymi wzdragali się ludzie wypchnięci przez opinię publiczną na czoło ruchu narodowego. Trudno jednakże przyjąć, iż gronu temu brakowało po prostu orientacji,

<sup>13</sup> R. Łubieński, *General Tomasz Pomian hrabia Łubieński*, t. 2, Warszawa 1899, s. 2–3.

do czego prowadzi wstrzymanie się przed marszem w stronę Wilna, Mińska białoruskiego czy Kamieńca Podolskiego.

Jeżeli Polacy deklarowali, iż uznają i respektują traktat wiedeński, to tym samym dowodzili braku potrzeby jakichkolwiek jego zmian. Jeżeliby natomiast zburzyli ten stan rzeczy, wówczas dopiero powstałaby polityczna konieczność przeorganizowania układu stosunków międzynarodowych. Polska musiała poza tym okazać nie tylko gotowość do walki i pragnienie niepodległości – musiała okazać, że własne jej siły wystarczają do stworzenia faktów dokonanych, i musiała te fakty w rzeczy samej stworzyć. Mediacja międzynarodowa mogła załatwić tylko jedno: uznanie polskiej niepodległości w świetle prawa międzynarodowego wtedy, gdy Polska tę niepodległość faktycznie już by miała i była zdolna ją zabezpieczyć. Aby móc pertraktować, trzeba było uprzednio walczyć – i zwyciężyć. I – co więcej – można było pertraktować tylko o pełną niepodległość lub trzeba było bezwarunkowo skapitulować. Wyjścia pośredniego w rzeczywistości nie było.

Naruszenie granic Cesarstwa Rosyjskiego, wyjście poza ramy nakreślone dla polskiej autonomii w roku 1815 wydawało się rządowi warszawskiemu prowokacją dla Europy, powodem i pretekstem dla dworów zachodnich do odżegnania się od wszelkiej łączności ze sprawą polską. Wydawało się, że postawienie sprawy zbrojnego oddzielenia Królestwa Polskiego od Cesarstwa Rosyjskiego i włączenia do niepodległej Polski ziem litewsko-ruskich musiałyby skłonić Wiedeń i Berlin do otwartej akcji antypolskiej. Następne miesiące dowiodły zupełnej absurdalności tych supozycji. Wiedeń i Berlin nie zdecydowały się przecież na działanie przeciwko powstaniu, gdy okazywało ono wyraźnie swoją słabość i swoją niezdolność do zadania nieprzyjacielowi decydującego ciosu. Tym bardziej nie podjęłyby – rzecz oczywista – otwartej akcji przeciwko powstaniu rozwijającemu w całej pełni swe siły i możliwości. Silni mają sprzymierzeńców i kontrahentów, słabi nigdy. Doświadczenie historyczne z ostatnich kilkudziesięciu lat powinno było przekonać polski Rząd Narodowy, iż tylko te sprawy mogą liczyć na wspierającą akcję polityczną i dyplomatyczną mocarstw, które naruszają równowagę sił politycznych w Europie tak dalece, iż bezpośrednio czy pośrednio musi to zaangażować interesy tych czy innych dworów. Był zresztą w tej sprawie precedens znamienny i aktualny: rewolucja belgijska w swej deklaracji programowej odrzuciła *a priori* zasady kongresu wiedeńskiego, odmówiła uznania ich za obowiązujące naród belgijski. Właśnie

takie postawienie sprawy umożliwiło potem w czasie konferencji londyńskiej jesienią 1830 roku (gdy polskie powstanie uczyniło wszelkie plany rosyjskiej interwencji na Zachodzie zupełnie nierealnymi) przyjęcie zasady niepodległości i suwerenności Belgii. Rząd warszawski roku 1831 trzymał się zaś kurczowo zasad wiedeńskich, dopatrując się w nich ocalenia, choć w rzeczy samej przesądzało to o opuszczeniu sprawy polskiej na forum międzynarodowym, o uznaniu jej powszechnie za wewnętrzną sprawę rosyjską.

W początkach grudnia 1830 roku, gdy opinia publiczna żądała szybkich i radykalnych posunięć ofensywnych przeciwko carowi, mówił Mochnackiemu „jeden z najzacniejszych Polaków”, który „przez dwa lata siedział u karmelitów, na rok przed 1829 wyszedł z tego więzienia”:

Jeżeli uwięzimy carewicza i rozbiorimy jego gwardię, to nas poczytają w Wiedniu za jakobinów, a powstanie nasze za dalszy ciąg rewolucji lipcowej; jeżeli zaraz wpadniemy do Litwy, to powiedzą, żeśmy zgwałcili kongres wiedeński, po czym natychmiast Prusacy i Austriacy wtargną do Królestwa. A zatem nic nam innego uczynić nie wypada, tylko puścić wolno Konstantego z gwardią i rozpocząć układy z Mikołajem za pośrednictwem Austrii, Francji i Anglii...

Zdumiony Mochnacki zapytał: „Dlaczegożeśmy powstali?”. Otrzymał odpowiedź: „Rewolucja nasza będzie nieszczęściem dla kraju, jeżeli wykroczymy z granic kongresu wiedeńskiego”<sup>14</sup>. Zaczynając patriotą, tak ufający w traktat wiedeński, nie wyjaśnił wszelako Mochnackiemu sprawy zasadniczej: w jaki sposób dwory zachodnie w ogóle znaleźć mają prawną podstawę do mediacji między Polakami a ich **uznawanym** i nadal sprawującym nad Królestwem suwerenną władzę monarchą, skoro ani nikt nie kwestionuje jego suwerenności, ani też nie domaga się zmiany politycznego uwarunkowania bytu Królestwa. Tym samym w praktyce koncepcja „umiarkowanych ugodowców” musiała staczać się na pozycje programu pełnej i jawnej kapitulacji, programu tak drogiego sercu generała Józefa Chłopickiego.

Kariera tego wiernego żołnierza Jego Cesarskiej Mości Mikołaja I jako dyktatora narodowego powstania – dyktatora z woli i pragnienia całej krajowej opinii publicznej, z woli nie tylko arystokratycznych

<sup>14</sup> M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego...*, dz. cyt., t. 1, s. 81–82.



salonów i lękających się społecznych zamieszek sfer bogatego mieszczaństwa, ale również **ludu** w pełnym tego słowa znaczeniu – jest jednym z najdziwniejszych zjawisk w historii polskich ruchów i przewrotów politycznych. Chłopicki upatrzony był od dawna na wodza i dyktatora przez całą krajową opinię publiczną. Na długo przed nocą 29 listopada 1830 roku widziano w nim człowieka, który z talentów swych i przekonań najbardziej był predestynowany do objęcia władzy w chwili rozpoczęcia walki. Trudno jest odkryć źródło tej dezorientacji opinii publicznej. Mimo że Chłopicki nigdy nie krył się ze swymi poglądami politycznymi i ze swymi negatywnymi ocenami szans jakiegokolwiek – nie tylko walki, ale nawet – opozycji przeciwko Mikołajowi I, z przedziwnym uporem i w przekonaniu, iż wszystko to są tylko manewry taktyczne podejrzanego politycznie, dymisjonowanego generała, społeczeństwo pchało Chłopickiego do władzy. W noc listopadową wszędzie oglądano się za Chłopicim: gdzie jest, czy już dowodzi, czy już objął władzę nad Warszawą i Królestwem... Legenda Chłopickiego była krótkotrwała, po bitwie grochowskiej nie zostało z niej śladu ni popiołu, dla Chłopickiego nie było już potem bezpiecznego miejsca w Królestwie, ale moc tej legendy, trwająca przez sześć tygodni, wystarczyła na skierowanie sprawy powstania na tory wiodące ku klęsce.

Chłopicki był w rzeczy samej dziwną indywidualnością. Urodzony w roku 1771 (w chwili wybuchu powstania miał więc 59 lat), wstąpił jako kadet do pułku piechoty Kaliksta Ponińskiego w 1787 roku, ale wkrótce potem znalazł się w służbie rosyjskiej – i to dwukrotnie, w 1788 i 1793 roku, w okolicznościach niejasnych, do czego zresztą nigdy się nie przyznawał, tając te sprawy z ogromnym uporem. Kampanie 1792 i 1794 roku odbył podobno w jednym z pułków polskich, potem był w Legionach, w 1809 roku mianowany został przez Napoleona generałem brygady, ale stopień generała dywizji otrzymał już od Aleksandra I w maju 1814 roku. Fakt charakterystyczny: przez całe życie podpisywał się zawsze CHLOPICKI, nigdy Chłopicki<sup>15</sup>. Oficer napoleoński, wychowywany w szkole wojen lat 1796–1815 (gdyż kariera wojskowa u schyłku Rzeczypospolitej pozostawiła w jego osobowości niewiele śladów, chyba że doszukiwać się w niej będziemy reliktywów owych niejasnych epizodów rosyjskich), wyniósł z tych doświadczeń wiele tępej rutyny i ani śladu znajomości

<sup>15</sup> S. Pomarański, „*Stan służby*” Chłopickiego, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 1929, t. 1, z. 2, s. 279–280.



ducha prawdziwej napoleońskiej doktryny wojennej. Wierzył w wojskowy dryl, w stare wyszkolone bataliony i w potęgę imienia „prawego monarchy”. Chorobliwie ambitny, łączył z ambicją głębię rozgoryczenia z powodu niezasłużonej cesarskiej niełaski, upodobanie do komedianckich demonstracji i przekonanie o niezawodnej politycznej skuteczności wszelkiego tzw. trzymania za mordę. Człowiek o takiej mentalności musiał oczywiście skompromitować się doszczętnie w oczach ludowej opinii publicznej; że kompromitacja ta postępowała mimo wszystko powoli, to już zasługa i dzieło „umiarkowanych ugodowców”, którzy rzeczywiste oblicze ideowo-polityczne generała taili przed społeczeństwem aż do upadku dyktatury w połowie stycznia 1831 roku.

Podstawą popularności Chłopickiego był jego konflikt z wielkim księciem Konstantym i ostentacyjna dymisja ze służby wojskowej. Dopatrywano się w tym zasadniczego politycznego konfliktu, jakiegoś protestu przeciwko rzeczywistości społeczno-politycznej w Królestwie Polskim po roku 1820. Była to wielka pomyłka, wielki błąd opinii publicznej; w rzeczy samej szło tylko o kwestie ambicjonalne i osobiste. Aleksander I próbował skłonić Chłopickiego do zgody z cesarzewiczem; generał postawił warunek: zażądał nominacji na stanowisko osobistego generała-adiutanta cesarza, tak aby w stosunkach służbowych nie podlegał już Konstantemu. Ponieważ Aleksander nie chciał brata upokorzyć, odrzucił te żądania; Chłopicki pozostał poza armią. Wielki książę roztoczył nad nim jawny nadzór policyjny; uważano to za widomy objaw patriotycznej i opozycyjnej działalności Chłopickiego – od której generał był w rzeczywistości jak najdalszy. „...Nie smakując ani w książkach, ani w umysłowej pracy – powiada o Chłopickim Prądyński – przepędzał czas w Warszawie w nielicznym gronie na grze, i to na grubej grze”<sup>16</sup>. Prosto od zielonego stolika ów ukochany przez lud szuler polityczny powołany został do dyktatury powstania.

Ta nieproszona, niepożądana, kompromitująca desygnacja do kierownictwa ruchu, który z góry budził w Chłopickim wstręt i nienawiść, była oczywiście źródłem irytacji generała jeszcze przed wybuchem powstania. Wieczorem 29 listopada w całej Warszawie szukano rozpaczliwie Chłopickiego; znalazł go wreszcie w Teatrze Rozmaitości podporucznik Józef Dobrowolski; rzucił się ku generałowi z błaganiem, by objął wreszcie dowództwo. „Zastanów się pan,

<sup>16</sup> *Pamiętniki generała Prądyńskiego*, dz. cyt., s. 232–234.

co robisz!” – wrzasnął rozwścieczony Chłopicki. „Generale, nie czas już się zastanawiać...”. „Dajcie mi spokój, idę spać” – oświadczył najpopularniejszy człowiek w Polsce i z teatru udał się do mieszkania podpułkownika Sobieskiego z Komisji Rządowej Wojny, gdzie przy fajce i ulubionych kartach przesiedział całą noc, powtarzając podobno:

Półgłówki zrobiły burdę, którą wszyscy ciężko przypłacić mogą. Mieszać się do tego nie należy... Marzyć o walce z Rosją, która trzemakroć sto tysiącami wojska zalać nas może, gdy my ledwie pięćdziesiąt tysięcy mieć możemy, jest pomysłem głów, którym piątej klepki brakuje<sup>17</sup>.

Że Chłopicki wyznawał takie poglądy, nie jest niczym dziwnym, nie był niestety odosobniony w sferach wojskowych i rządowych Królestwa. Ale że nie kryjąc się z nimi, a przeciwnie, powszechnie je demonstrując, mógł mimo to zyskać zaufanie opinii publicznej, która dopatrzyła się w tym taktyki politycznego kamuflażu – to już zjawisko naprawdę zdumiewające. Gdy wreszcie dał się namówić na objęcie tymczasowego dowództwa wojsk polskich, radość Warszawy była niezmierna. Mało kto w grudniu 1830 roku zdawał sobie sprawę z faktu, że ów „mierny generał, żaden wódz, był politycznie wręcz niepoczytalny”<sup>18</sup>. Gdy po nieudanej próbie zamachu stanu, podjętej przez Mochnackiego na czele oddziału podchorążych, rozeszły się w Warszawie pogłoski, iż to z winy tego „terrorysty” zasłabł niebezpiecznie ukochany wódz, obrzucony przezeń obelgami, w stolicy zawrzało. Chłopicki rzeczywiście leżał chory, ale z innego powodu: jeden z oddziałów polskich zaatakował właśnie tylną straż cofającego się z Królestwa korpusu wielkiego księcia, co doprowadziło przyszłego dyktatora do szału wściekłości, tak że demonstracyjnie położył się do łóżka. Ale – pisze Mochnacki –

w skutku tej wieści, która się jak błyskawica rozleciała, lud i wojsko napełniły plac przed bankiem i dziedziniec pałacu Zamoyskich, gdzie Chłopicki, jak mówiono, dogorywa. Powstała wielka egzasperacja; kotary czarne i zielone, spuszczone na znak żałoby z okien słabego generała, okazywały niebezpieczeństwo.

<sup>17</sup> W. Tokarz, *Sprzysiężenie Wysockiego...*, dz. cyt., s. 161–162.

<sup>18</sup> S. Askenazy, *Zabiegi dyplomatyczne polskie...*, dz. cyt., s. 421.

Pospólstwo w kilku punktach stolicy zaczęło stawiać szubienice dla mnie; żołnierze rozsiekać mnie chcieli, a Lach Szyrma, komendant akademików, rozstrzelać<sup>19</sup>.

Tak się ujmował lud za „swoim” wodzem!

Chłopicki wyzdrowiał, oczywiście, prędko i namówiony na dyktaturę, objął ją – demonstracyjnie z własnej inicjatywy, odrzucając rządową nominację. Kilkanaście dni pierwszego okresu dyktatury wypełnił usilną pracą nad powściągnięciem rewolucyjnego zapału w kraju, nad ujarzmieniem „klubistów”, nad zwalczaniem wszelkiej oddolnej inicjatywy zmierzającej do rozwinięcia polskich sił zbrojnych. Te trzy pierwsze tygodnie powstania były okresem bezcennym, okresem, który mógł przesądzić o szybkim i zdecydowanym powodzeniu sprawy polskiej. Chłopicki uczynił wszystko, by okres ten wykorzystać mogło na swoją korzyść nie powstanie, ale carskie dowództwo sił zbrojnych skierowanych przeciw Królestwu.

Po bitwie grochowskiej ranny Chłopicki uchylił się od uczestnictwa w sprawach krajowych i spiesznie wyjechał do Krakowa, gdzie po upadku powstania pod protekcją konsulów trzech państw rozbiorowych mieszkał już potem spokojnie i bezpiecznie do końca życia. Był po prostu pod ręką władz rosyjskich; bez najmniejszego trudu mógł być ujęty i dostawiony do Warszawy czy Petersburga; nikt jednak nie próbował go niepokoić. Natomiast w czasie Wiosny Ludów, gdy szykowała się interwencja rosyjska przeciwko walczącym o wolność Węgom, Mikołaj I zdecydował się skłonić Chłopickiego do powrotu do czynnej służby. Proponował mu wysoką emeryturę wojskową – jako dowódcy zasłużonemu w bojach w służbie Jego Cesarskiej Mości. Dziwne to były zasługi, zważywszy, iż największym wydarzeniem w dziejach wojskowej kariery Chłopickiego było dowództwo sił polskich w bitwie pod Wawrem i Grochowem, toczonej wszakże przeciwko wojskom Jego Cesarskiej Mości... Chłopicki odrzucił w końcu monarsze propozycje; skompromitowanemu w oczach krajowej opinii publicznej nie wypadało mimo wszystko popisywać się jawną kolaboracją z władzami zaborczymi. Jednakże te carskie propozycje z 1848/1849 roku świadczą najlepiej, że w oczach Mikołaja I Chłopicki spełnił wiernie i do końca swój poddańczy obowiązek wobec „prawego monarchy” i niczym nie zasłużył na pozbawienie go cesarskiej łaski.

<sup>19</sup> M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego...*, dz. cyt., t. 2, s. 133.

### 3.

Wydawać by się mogło, że powstanie polskie w roku 1830 z góry było skazane na zagładę, że pomiędzy Królestwem Polskim a Rosją istniała tak wielka dysproporcja sił, iż jakakolwiek walka zbrojna o polską niepodległość była w ogóle nie do pomyślenia – jednym słowem, że generał Chłopicki miał w pełni rację i jak najślusniej przyjął program szybkiej, możliwie bezbolesnej kapitulacji... Stosunek sił, a raczej stosunek potencjałów ludzkich pomiędzy Królestwem a Cesarstwem wynosił przecież 1:10; Polska miała w swych granicach pokongresowych (nie licząc oczywiście zaborów pruskiego i austriackiego, Wolnego Miasta Krakowa i ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej) tylko 4 200 000 mieszkańców, Rosja zaś około 45 milionów. Dysproporcji tej nie wyrównywał oczywiście świetny stan finansów Królestwa i jego ogólny bardzo wysoki poziom ekonomiczny (Królestwo Polskie w roku 1830 należało mimo wszystko do lepiej rozwiniętych ekonomicznie krajów Europy, nie tylko Środkowo-Wschodniej, ale Europy w ogóle). Jeżeli zaś powstanie polskie nie mogło liczyć na rosyjski odzew hasła „za wolność waszą i naszą” (a liczyć na to rzeczywiście, jak dalej zobaczymy, niestety nie mogło), to może naprawdę klęska była nieuchronna?

A jednak powstanie polskie trwało 10 miesięcy. Mimo wszystkich wysiłków dowództwa rosyjskiego, mimo użycia wszystkich sił, jakimi Rosja mogła dysponować, mimo rozkołysania patriotycznych emocji w społeczeństwie rosyjskim – dziewięć miesięcy potrzeba było, by do Warszawy dotarły wojska rosyjskie, by powstanie upadło. Przez te dziewięć miesięcy losy wojny ważyły się na obie strony. Mimo wyraźnej złej woli i celowej antynarodowej działalności dwóch kolejnych wodzów naczelnych wojsk polskich, mimo że – mówiąc po prostu – w osobach Chłopickiego i Skrzyneckiego powstanie miało na czele swych sił zbrojnych dwóch rosyjskich Konradów Wallenrodów, losy wojny ważyły się długo i tylko największym wysiłkiem Mikołaj I zdołał wreszcie przywrócić swe panowanie nad Królestwem Polskim. Dlaczego tak się działo?

Po prostu dlatego, że najzupełniej mylne jest przekonanie, iż z dysproporcji potencjałów ludzkich, obszarów i ogólnej mocy produkcyjnej wynikała w roku 1831 również i zasadnicza dysproporcja sił militarnych stron walczących. Wnioskowanie takie opiera się na analogii zupełnie mylnej, na ahistorycznym przenoszeniu

w pierwszą połowę XIX wieku wniosków z doświadczeń wieku XX. Jesteśmy dziś przyzwyczajeni, że elementy potencjału militarnego każdego państwa, jego możliwości użycia siły w konfliktach międzynarodowych, określane są przez jego rzeczywisty potencjał produkcyjny i ludnościowy. Wojna współczesna jest wojną totalną, to znaczy angażującą w działania wojenne wszystkie zasoby państwa i społeczeństwa. Tym samym więc ogólne zasoby materialne i ludnościowe, pomnożone przez współczynnik możliwości i szybkości ich uruchomienia, w wieku XX rozstrzygają zwykle o zwycięstwie. Czyż jednak rozstrzygały zawsze?

Pamiętać należy, że dopiero w drugiej połowie wieku XIX przebiega przez dzieje wojen granica oddzielająca wojny starego typu od wojen nowoczesnych. Cezurę tę określają dwa zjawiska: upowszechnienie masowego transportu kolejowego i powszechna mobilizacja. Dopiero te dwa czynniki pozwoliły na powiązanie zależnością wprost proporcjonalną potencjału produkcyjno-ludnościowego państwa i jego ewentualnej siły militarnej w razie konfliktu zbrojnego.

Gdyby było inaczej, świat nigdy nie widziałby takich zjawisk, jak triumfalny pochód armii szwedzkiej przez kontynent europejski w czasie wojen XVII wieku, jak zwycięstwa Fryderyka II w XVIII wieku, czy wreszcie sukcesy obronne i ofensywne rewolucji francuskiej. W czasie tych wojen strona zwycięska dysponowała zapleczem ludnościowym i produkcyjnym kilkanaście czy kilka razy mniejszym niż suma sił przeciwnika – a jednak odnosiła zdecydowane sukcesy militarne. Gospodarka wojenna XVII, XVIII i pierwszej połowy XIX wieku opierała się bowiem na zupełnie innych założeniach niż w epoce wojen nowoczesnych.

Armia pierwszej połowy wieku XIX w czasie pokoju mogła organizować się w oparciu o zasoby całego kraju, ale w czasie wojny wyżywienie i zaopatrzenie czerpała tylko z obszaru działań wojennych. Transport był trudny i powolny. Cóż z tego, że w roku 1812 Napoleon miał do dyspozycji zasoby przeszło połowy Europy, skoro nie miał ich na ziemiach Litwy i Białorusi? Na zaopatrzenie i uzupełnienie strat trzeba było czasem i całego roku. Kampania raz rozpoczęta musiała się toczyć w oparciu o zasoby, którymi obie strony dysponowały lub mogły dysponować na miejscu. Wojsko podróżowało powoli, szybkość pieszego marszu i szybkość wozu, ciągniętego stępą przez konny zaprzęg, były przeciętną szybkością wojennego transportu. Stąd dla gospodarki wojennej decydującym czynnikiem było wykorzystanie zasobów istniejących już na miejscu. Kto umiał

lepiej i szybciej wykorzystać przewagę zaskoczenia, prędkiej zebrać zapasy żywności, koni i zapasy z obszaru działań wojennych, kto wreszcie mógł liczyć na miejscową ludność przy uzupełnianiu strat lub mobilizowaniu nowych sił – ten zwykle odnosił zwycięstwo, oczywiście przy poprawnym przynajmniej prowadzeniu operacji wojennych. Car Mikołaj I mógł dysponować setkami tysięcy rekrutów i zasobami wartości milionów rubli nad Wołgą i za Uralem, ale działać przeciwko Królestwu mógł jedynie w oparciu o zasoby ziem położonych między Narwią i Bugiem a Dźwiną i Dnieprem. Przewaga rosyjskiego potencjału wojennego opierała się na możliwości wykorzystania przeciwko Królestwu zasobów dawnych wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. Gdyby powstanie zdołało przenieść działania wojenne nad Dźwinę i Berezynę, to znaczy przesunąć front tak daleko na wschód, by przejąć pod polską kontrolę większą część tych obszarów – proporcja sił i możliwości wojennych między powstaniem a caratem wyrównałaby się, a przy energicznej i śmiałej polskiej działalności organizacyjno-mobilizacyjnej przesunęłaby się zapewne nawet na korzyść powstania.

Trzeba stwierdzić, że tego właśnie obawiało się najbardziej dowództwo rosyjskie na przełomie lat 1830/1831, że właśnie z powodu braku możliwości realnego przeciwdziałania ewentualnej polskiej ofensywie na wschód Mikołaj I starał się w grudniu 1830 roku wykorzystać siły ugodowe i lojalistyczne w Królestwie dla rozsadzenia powstania od wewnątrz. A możliwości polskiej ofensywy w grudniu 1830 roku nie tylko istniały, ale były nawet tak oczywiste, że zdumienie całej Europy i Petersburga przede wszystkim wywołał fakt, iż Polacy z tej szansy nie skorzystali. Znakomity rosyjski historyk wojskowości, generał Puzyrewski, pisał potem w swym doskonałym dziele o wojnie 1830/1831 roku:

...położenie armii ruskiej [w grudniu 1830] łatwe nie było; z powodu jej rozrzucenia Polacy mogli z początku skupić przeważne dla kroków zaczepnych siły i atakować kolejno zbliżające się wojska nasze. Olbrzymie odległości wymagały długiego czasu do zebrania się, a złe drogi zwiększały przeszkody skoncentrowania armii. [...] Na skoncentrowanie zatem całej armii, licząc od chwili otrzymania w Petersburgu wiadomości o rewolucji, potrzeba było przeszło trzech miesięcy, Polacy zaś gotowi byli daleko wcześniej<sup>20</sup>.

<sup>20</sup> A.K. Puzyrewski, *Wojna polsko-ruska 1831 r.*, Warszawa 1899, s. 36–37.

Opisując sytuację na ziemiach, które stać się powinny teatrem wojny, to znaczy na obszarach pomiędzy granicą Królestwa a Dźwi-  
ną i Berezyną, ten sam autor stwierdzał:

...ponieważ szlachtę opisanego kraju stanowili Polacy, którzy wraz z duchowieństwem katolickim mieli wpływ niezmierny na resztę ludności, stanowiącej przedtem poddanych Polski i pokrewnej jej w części, Królestwo liczyć mogło, że przy pomyślnym przebiegu wojny cały pas zachodni [ziem Cesarstwa] z nimi się połączy<sup>21</sup>.

Wkroczenie na ziemie litewsko-ruskie od razu dawało powsta-  
niu możliwość mobilizacji świeżej armii w sile do 200 000 ludzi<sup>22</sup>.

Armia polska w roku 1830 liczyła etatowo na stopie pokojo-  
wej około 30 000 ludzi, miała jednakże olbrzymie zaplecze kadrowe  
i możliwości mobilizacyjne. Pamiętać trzeba zawsze, iż żadne po-  
wstanie polskie nie rozpoczęło się w tak korzystnych pod względem  
militarnym warunkach, jak właśnie powstanie 1830 roku. Armia  
polska była oczywiście mniej liczna od wojsk rosyjskich, była jed-  
nak pod każdym względem lepsza od armii rosyjskiej; wykszolenie,  
zaopatrzenie, wyposażenie i uzbrojenie wojsk polskich przewyższało  
bez porównania standard przeciwnika; siły polskie ustępowały ro-  
syjskim jedynie pod względem liczby artylerii, ale polska artyleria  
była jednak lepsza, a artylerzyści lepiej wyszkoleni. Zasadniczy brak  
armii polskiej polegał na czym innym i był to brak niestety trud-  
ny do wykrycia (choć łatwy do naprawienia, gdyby w warunkach  
wojennych zauważono i wskazano publicznie tę konieczność): otóż  
przeciętne poglądy polityczne wyższych oficerów wojsk polskich, od  
dowódcy pułku wzwyż, były tego rodzaju, że z góry wykluczały moż-  
liwości użycia tych ludzi do skutecznego prowadzenia wojny prze-  
ciwko Mikołajowi I.

W każdym razie armia polska 1830 roku była siłą groźną, a w ręk-  
kach kierowników powstania zdecydowanych na działanie radykalne  
mogła stać się siłą druzgocącą. Nie było mowy o jakiegokolwiek niż-  
szości bojowej sił polskich, o konieczności improwizowania w ogniu  
walki i łatania braków w uzbrojeniu i zaopatrzeniu zapałem, ofiarno-  
ścią, odwagą powstańczych oddziałów.

<sup>21</sup> Tamże, s. 43.

<sup>22</sup> *Pamiętniki generała Prądzyńskiego*, dz. cyt., t. 2, s. 6.



Wszelkie historyczne symbole są – jak to się już wielokrotnie okazało w świetle szczegółowych badań źródłowych – bardzo ryzykowną formą przedstawiania w skrócie poglądów na jakąś sytuację, wydarzenie czy proces o znaczeniu dziejowym. Niemniej jednak są czasami użyteczne; czasami lepiej niż długi wykład ukazują istotę problemu. Nasze powstańcze militaria mają swoją symbolikę w świadomości narodowej bardzo rozbudowaną. Czasami okazuje się co prawda, że fakt, który posłużył dla symbolu, sam przez się miał wymowę i sens doraźny zgoła odmienny od późniejszej emocjonalnej interpretacji. Ale jako skróty myślowe, dotyczące całego splotu zagadnień, a nie wydarzeń szczegółowych i jednostkowych, tradycyjne symbole historyczne w zasadzie mimo wszystko trafiają dobrze w ogólny sens dziejów.

Jeżeli więc militarnym symbolem insurekcji 1794 roku stały się chłopskie kompanie kosynierów, brawurowym atakiem uderzające na rosyjską artylerię pod Raławicami, jeżeli symbolem powstania styczniowego są myśliwskie sztucery oddziałów partyzanckich w walce przeciwko rosyjskim karabinom wojskowym i bateriom dział – to symbolem militarnym powstania listopadowego jest polska artyleria raketowa, racami kongrewskimi rozpraszająca rosyjską kawalerię, szarżującą w czasie bitwy pod Grochowem<sup>23</sup>.

Liczebna dysproporcja sił pomiędzy stroną polską a rosyjską w roku 1831 wcale nie była tak uderzająca, jak wydaje się czasem, gdy ulegamy wrażeniu ostatecznego wyniku wojny. Powstanie zdławione zostało nie przewagą sił liczebnych i ogniowych nieprzyjaciela, ale przewagą talentów operacyjnych i determinacji działania rosyjskiego naczelnego dowództwa, w warunkach, w których losy wojny jeżeli wydawały się wątpliwe, to tylko dlatego, że strona polska miała przed sobą olbrzymie możliwości, a zadanie strony rosyjskiej było bardzo ryzykowne. Trudno w tym miejscu wdawać się w szczegółową analizę historii wojennej roku 1831; istnieją zresztą doskonałe i wyczerpujące opracowania tego zagadnienia, zarówno rosyjskie, jak i polskie – których lektura jest dla polskiego czytelnika przeżyciem niesłychanie przykrym; trzeba jednakże wskazać pewne fakty orientujące w przebiegu wydarzeń i możliwościach obu stron walczących.

Armia rosyjska jesienią 1830 roku była już częściowo zmobilizowana ze względu na zamierzoną przez Mikołaja I interwencję

<sup>23</sup> Tamże, t. 1, s. 489.



zbrojną na zachodzie Europy; w trakcie mobilizacji znajdowały się również i dalsze siły – właściwie całość wojsk carskich. Co prawda trzon sił interwencyjnych przeciwko Francji i Belgii miała stanowić armia polska – która zwróciła się przeciwko carowi – i tzw. korpus litewsko-ruski, mobilizowany na ziemiach Litwy, Białorusi i Ukrainy, złożony w znacznym stopniu z żołnierzy i oficerów pochodzenia polskiego, przez cały okres wojny 1831 roku bardzo niepewny i niechętnie przeciw Polsce walczący. Musiało to siłą rzeczy znacznie zmienić rachuby carskiego dowództwa. W każdym jednak razie dowództwo rosyjskie mogło liczyć w czasie wojny na siły złożone ogółem ze 160 batalionów piechoty, 260 szwadronów kawalerii i około 500 dział, łącznie mniej więcej 180 000 ludzi. Wojska te rozrzucone były na obszarach całej prawie Rosji europejskiej<sup>24</sup>. Ale były to właściwie wszystkie już siły, których Mikołaj I mógł użyć w roku 1831; dalsza mobilizacja wojsk rosyjskich była praktycznie niemożliwa i dowództwo rosyjskie musiało działać przeciwko powstaniu, dysponując jedynie tymi, dość licznymi, ale wykruszającymi się siłami, które w dodatku bardzo powoli ściągały na ziemie polskie.

Armia polska miała natomiast możliwości mobilizacyjne stosunkowo o wiele większe; miała przede wszystkim oparcie w potężnym nacisku opinii publicznej, żądającej użycia wszystkich zasobów kraju do walki o niepodległość; koncentrowała się na obszarze niewielkim, ale za to dobrze zaopatrzonym; miała liczną kadrę zawodową, wystarczającą dla stworzenia kilkudziesięciu nowych pułków piechoty i kawalerii. W pierwszym okresie powstania Chłopicki robił wszystko, co było w jego mocy, by osłabić siłę i potencjał wojsk polskich; w czasie wojny Skrzynecki starał się nie dopuścić do rozwoju na wielką skalę rewolucyjnej armii. Mimo to wyniki ogólnego wysiłku mobilizacyjnego powstania są imponujące: obok 30 000 żołnierzy ze starej kadrowej armii Królestwa przez formacje powstańcze przeszło 140 000 ludzi zmobilizowanych w czasie wojny na obszarze zajęтым przez wojska polskie; dodać do tego należy około 20 000 ochotników z ziem litewsko-ruskich i dwóch pozostałych zaborów. Tak więc przy bardzo ograniczonym wysiłku Polska zdobyła się na wystawienie przeciwko Rosji łącznie 190 000 ludzi, niestety nie jednorazowo, lecz „na raty”, w toku ośmiomiesięcznych działań wojennych<sup>25</sup>.

<sup>24</sup> W. Tokarz, *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831*, Warszawa 1930, s. 49–50.

<sup>25</sup> Tamże, s. 90.

Jeżeli porównamy stany armii polskiej i rosyjskiej w poszczególnych fazach wojny, to stwierdzimy z niemałym zdumieniem, że proporcja sił przesuwała się nieustannie na korzyść strony polskiej; powstanie kończyło się w chwili, gdy strona polska dysponowała na froncie siłami równymi rosyjskim! Oto kilka liczb.

W **lutym** 1831 roku, **przed bitwą pod Grochowem**, obie walczące strony dysponowały na całym froncie następującymi siłami:

- Polacy: 43 bataliony piechoty, 51 szwadronów kawalerii, 140 dział – łącznie 57 000 żołnierzy i oficerów.
- Rosjanie: 106 batalionów, 156 szwadronów, 348 dział – 118 000 ludzi.

Po krwawej **bitwie pod Grochowem**, w przededniu okresu nie wielkiej polskiej aktywności, czyli tzw. ofensywy kwietniowej:

- Polacy: 53 bataliony, 86 szwadronów, 131 dział – 63 000 ludzi.
- Rosjanie: 137 batalionów, 230 szwadronów, 634 działa – 139 000 ludzi (jest to stan maksymalny armii rosyjskiej w czasie wojny 1831 roku; w czasie ofensywy kwietniowej wojsk polskich ulega zniszczeniu jeden korpus rosyjski, stany liczebne innych jednostek ulegają poważnemu zmniejszeniu wskutek głodu, chorób, braku zaopatrzenia i strat w walkach).

W **końcu kwietnia i na początku maja** 1831 roku, już po nieudanych wyprawach: korpusu generała Dwernickiego na Wołyń, korpusu generała Sierawskiego w województwo lubelskie, korpusu generała Chrzanowskiego w okolice Zamościa, wskutek czego wojska polskie straciły łącznie około 17 000 ludzi i 28 dział – przed nieszczęsną bitwą pod Ostrołęką siły polskie wynosiły: 103 bataliony piechoty, 90 szwadronów kawalerii, 132 działa w zaprzęgu – łącznie około 87 000 ludzi.

**Po bitwie pod Ostrołęką**, która była druzgoczącą klęską armii polskiej, już w połowie czerwca wojska polskie liczą znowu: 103 bataliony piechoty, 104 szwadrony kawalerii, 141 dział – około 85 000 ludzi. W czerwcu i lipcu następuje jednak klęska wyprawy generała Giełguda na Litwę, straty wynoszą 12 000 ludzi i 26 dział.

W **drugiej połowie sierpnia** 1831 roku, w momencie, gdy Pa-skiewicz ryzykownym marszem okrążającym przekroczył Wisłę i podejmował uderzenie na Warszawę, na bardzo już skurczonym froncie polsko-rosyjskim siły obu stron walczących wynosiły:

- Polacy: 97 batalionów, 94 szwadrony, 151 dział – według „stanu gotowych do boju” dokładnie 78 536 żołnierzy i oficerów.

- Rosjanie: 96 batalionów, 133 szwadrony, 390 dział – według „stanu gotowych do boju” dokładnie 78 594 żołnierzy i oficerów.

Tak dalece wykruszyła się armia rosyjska w walkach na ziemiach polskich, przy braku uzupełnień i zaopatrzenia.

Już po **szturmie Warszawy**, w czasie którego wojska Paskiewicza poniosły straty sięgające 25 procent stanu liczebnego walczących oddziałów, gdy armia polska na mocy układu o kapitulacji stolicy cofała się na północny zachód, powstanie dysponowało jeszcze następującymi siłami:

- wokół Modlina skoncentrowane były: 43 bataliony, 55 szwadronów, 91 dział – 33 000 ludzi;
- operująca na prawym brzegu Wisły i faktycznie niezwiązana przez żadne oddziały rosyjskie grupa generała Ramorina liczyła 20 000 ludzi i 40 dział; inna grupa działająca z dala od Warszawy, korpus generała Różyckiego, składała się z 10 000 ludzi i 8 dział;
- załogi twierdz Zamościa i Modlina miały około 9 000 ludzi, nie licząc znacznej artylerii pozycyjnej.

Amunicji było pod dostatkiem: zaopatrzenie artylerii wynosiło przeciętnie 265 naboji na działą, zaopatrzenie oddziałów piechoty – 40 naboji na karabin. W tym samym czasie wojska rosyjskie były prawie pozbawione amunicji artyleryjskiej, zużytej doszczętnie w czasie szturmie Warszawy.

Mimo to wojska polskie nie przedsięwzięły już po upadku Warszawy żadnej operacji wojennej; w połowie września korpus generała Ramorina przekroczył bez walki granicę Galicji. Ale jeszcze **4 października** 1831 roku skoncentrowane nad pruską granicą w Brodniczy i niestety zupełnie zdemoralizowane resztki armii polskiej stanowią poważną siłę: 25 batalionów, 52 szwadrony, 95 dział w zaprzęgu i z jaszczkami pełnymi amunicji – około 21 000 ludzi. W kasie znajdowało się około 6,5 miliona złp, w walucie mającej sżytny międzynarodowy kurs<sup>26</sup>.

Przytoczone liczby nie mają oczywiście na celu wywołania u czytelnika wrażenia, że strona polska w roku 1831 mogła dysponować w końcu potencjałem wojennym większym niż cały potencjał

<sup>26</sup> Powyższe zestawienia podaję na podstawie: *Pamiętniki generała Prądkyńskiego*, dz. cyt.; *Źródła do dziejów wojny polsko-rosyjskiej 1830–1831 r.*, wyd. B. Pawłowski, Warszawa 1931–1935, oraz cytowane wyżej dzieła W. Tokarza.

Rosji. Tak nie było i być nie mogło. Mają jednakże unaocznic, że: po pierwsze – dysproporcja użytych sił nie była mimo wszystko zbyt zasadnicza i wyraźna, po drugie – mimo wykorzystania tylko nieznaczej części swoich możliwości mobilizacyjnych Polska na głównym froncie przeciwstawiła Rosji w końcowej fazie powstania armię liczebnie równą, po trzecie – bynajmniej nie w dysproporcji sił szukać należy przyczyny klęski, gdyż siły, którymi powstanie dysponowało (nie mówiąc już o tych, które **mogło** zmobilizować), w zupełności wystarczały na decydujące pobicie wojsk carskich na obszarze Królestwa Polskiego i na przeniesienie działań wojennych nad Dźwinę i Berezynę – czyli w ostatecznym efekcie na wygranie całej kampanii, pozbawienie Mikołaja I sposobów przywrócenia nad Królestwem swej suwerenności i zmuszenie go do uznania niepodległości państwa polskiego.

Jedna – bardzo ważna – sprawa wymaga w tym miejscu wyjaśnienia: czytelnik zauważył chyba, że porównując siły Polski i Rosji w roku 1831, nie wzięliśmy pod uwagę szansy, jaką wedle upowszechnionego mniemania mogła dać polskiemu powstaniu konsekwentna rewolucja społeczna, to jest radykalne rozwiązanie sprawy chłopskiej przez powszechne i sprawiedliwe uwłaszczenie. W takim układzie sił politycznych, jaki w roku 1830/1831 występował na ziemiach Królestwa Polskiego, w sytuacji, gdy u władzy znalazła się reakcja społeczna i polityczna, o rewolucyjnym uwłaszczeniu mowy być oczywiście nie mogło. Gdyby jednak do władzy doszedł rząd radykalny i postępowy, być może właśnie przez odwołanie się do ludu, przez poderwanie do walki mas chłopskich, można by osiągnąć zwycięstwo sprawy narodowej?!

Problem ten jest wszelako znacznie bardziej skomplikowany, niż zazwyczaj się sądzi.

Jednym z największych osiągnięć historiografii polskiej w ostatnim czterdziestoleciu jest wysunięcie na pierwszy plan dziejów społecznych i politycznych Polski między rokiem 1764 a 1864 sprawy chłopskiej, to znaczy zwrócenie uwagi na fakt, że całkowite i konsekwentne rozwiązanie kwestii usamodzielnienia i uwłaszczenia klasy włościańskiej było podstawowym warunkiem prawidłowego rozwoju społeczeństwa polskiego. Co do tego nikt już dzisiaj nie może mieć żadnej wątpliwości: sprawa włościańska musiała być w XIX wieku załatwiona, a im prędzej i radykalniej by tego dokonano, tym łatwiejszy i szybszy byłby w Polsce dalszy postęp społeczny. Sprawa chłopska w końcu została załatwiona, ale bardzo późno, raczej

połowicznie, z chłopską krzywdą i w atmosferze nierokującej nadziei na szybki wzrost świadomości narodowej polskiego włościanina; skutki tego dały się boleśnie odczuć w ciągu następnych kilkudziesięciu lat naszej historii.

Jednak mocne zaakcentowanie przez naukę historyczną wagi sprawy włościańskiej w XVIII i XIX wieku wpłynęło bardzo ujemnie na rozumienie sytuacji i szans polskich powstań narodowych. Wysunięto bowiem hipotezę, że źródłem klęski powstań było w zasadzie nierozwiązanie problemu chłopskiego, i na odwrót, że tylko zdecydowane i rewolucyjne załatwienie tej kwestii mogło przynieść powstaniom sukces militarny i polityczny. Poczęły się nawet kształtować dwa warianty tej hipotezy: zwolennicy jednego utrzymywali, że rozwiązanie sprawy włościańskiej było obiektywnie możliwe, a przekreśliła tę szansę jedynie antynarodowa, egoistyczna polityka klas posiadających; wyznawcy drugiego sądzili, że w konkretnych polskich warunkach historycznych nie było szans na praktyczne rozwiązanie kwestii chłopskiej przez ruchy powstańcze, a więc wszelkie powstania były z góry skazane na klęskę.

Wydaje się, że wyznawcy wspomnianych hipotez ulegają złudzeniu zapożyczonemu od polskiej rewolucyjnej demokracji XIX stulecia: sądzą, że wystarczyłoby ogłosić powszechne i całkowite uwłaszczenie i uobywatelnienie chłopstwa – i zaraz doraźnie a konsekwentnie ten akt w życie wprowadzić – by natychmiast całe włościanstwo polskie zerwało się do czynu i masowym ruchem zbrojnym wsparło powstanie narodowe, zapewniając mu zupełne zwycięstwo<sup>27</sup>.

Jest to złudzenie bardzo niebezpieczne dla naukowej interpretacji dziejów polskich powstań w XVIII i XIX wieku, bierze bowiem pobożne życzenie za fakt obiektywny. Jest moim zdaniem rzeczą zupełnie pewną, iż żaden, nawet najbardziej rewolucyjny i postępowy akt ustawodawczo-polityczny w sprawach chłopskich, wydany w czasie powstania, na jego przebieg i szanse nie mógł mieć najmniejszego nawet doraźnego wpływu.

Poruszenie mas ludowych wydawało się w XIX wieku sprawą prostą, byle tylko spełniony został podstawowy warunek zainteresowania włościanstwa losami powstania na drodze czysto ekonomicznej. Trzeba było dowiedzieć, że car to pańszczyzna, a powstanie to

<sup>27</sup> Por. M. Żychowski, *Ludwik Mierosławski, 1814–1878*, Warszawa 1963, s. 82, 179, 183 i inne.

wolność, może nawet własność – i masy powstaną... Błąd takiego rozumowania jest dziś dla nas jasny i oczywisty: polegało ono na utożsamianiu wiedzy społeczno-politycznej i świadomości publicysty czy radykalnego działacza politycznego ze świadomością przeciętnego pańszczyźnianego chłopca. Rewolucyjny demokrat stawał imaginacyjnie samego siebie w sytuacji uciemzonego włościanina i starał się sobie wyobrazić, jak by reagował i działał na jego miejscu. Wyniki takiego eksperymentu były oczywiście bardzo obiecujące; pozwalały żywić nadzieję, że „masy powstaną”, gdy tylko ogłoszone zostaną najważniejsze akty: zniesienie pańszczyzny, uwłaszczenie, uobywatelnienie... Jakżeż nie powstać, gdy Ojczyzna wyciąga wreszcie ramiona do wszystkich swych dzieci, wszystkie jednakową troską otacza itd., itd. Nie wiedziano jeszcze, że świadomość mas nie zmienia się z dnia na dzień, że trzeba dziesiątków lat oddziaływania nowych stosunków społecznych, by wytworzyły się nowe postawy ideowe i nowe reakcje emocjonalne, że trzeba całej epoki, by upowszechniła się wśród chłopstwa świadomość narodowa.

Wydaje się rzeczą pewną, że w konkretnej sytuacji roku 1831 wywołanie masowego ruchu chłopskiego na korzyść powstania było po prostu obiektywnie niemożliwe, bez względu na to, jakich środków by w tym celu użyto. Zniesienie pańszczyzny, oczynszowanie, a nawet powszechne uwłaszczenie nic by nie pomogło. Tego rodzaju zasadnicze akty ustrojowe położyłyby oczywiście fundamenty pod szybki rozwój społeczny w przyszłości, ale w warunkach powstania i wojny narodowowyzwoleńczej niewiele by dały. Powstanie obiektywnie było sprawą całego narodu, ale subiektywnie, w przekonaniu olbrzymiej większości społeczeństwa, było sprawą „pańską”, „szlachecką”...

Można snuć rozmaite przypuszczenia, jak zareagowałyby masy chłopskie na ewentualne powszechne uwłaszczenie w roku 1831. Przypuśćmy na chwilę, że w czasie powstania objęło nagle władzę radykalne ugrupowanie rewolucyjno-demokratyczne, ogłaszając zniesienie pańszczyzny i całkowite uwłaszczenie chłopstwa; co by się wówczas stało? Sądzę, że niewiele; byłoby sporo kłopotu właśnie ze świeżo obdarowanym włościaninem; nikt nie chciałby brać ziemi z rąk nowego, przeciw „najjaśniejszemu cesarzowi” zbuntowanego Rządu Narodowego, z płaczem dopraszałyby się wiejskie gromady – „żeby już lepiej zostało po dawnemu”... Działać by zaczął stereotyp naiwnej świadomości społeczno-politycznej chłopstwa, typowy dla wszystkich ustrojów feudalnych: wrogiem jest „pan”, przyjacielem, sprzymierzeńcem, opiekunem – monarcha. „Panowie” buntują się

przeciw monarsze wtedy, gdy chce on ulżyć chłopskiej doli... Stąd też każde wystąpienie przeciwko władzy królewskiej czy carskiej jest w oczach pańszczyźnianego chłopstwa ruchem „pańskim”, antychłopskim. W roku 1831 trudno było oczywiście zniweczyć ten stereotyp; wszakże będzie on jeszcze odgrywał znaczną rolę w roku 1863!

Świadomość mas włościańskich była zawsze opóźniona w porównaniu ze zmianami w uwarunkowaniu materialnym i społecznym ich bytu. W roku 1831 stworzenie na zawołanie nowej siły społecznej, ukształtowanie *ad hoc* świadomości społecznej całej klasy chłopskiej w sposób pożądaný dla doraźnych celów politycznych narodu było zadaniem niemożliwym do wykonania. Nie można było przekreślić jednym aktem politycznym wpływu stosunków trwających na dobrą sprawę bez większych zmian od kilkuset lat. Nie można się dziwić włościaństwu, że wobec szlacheckiego powstania było obojętne i nieufne, ale też nie można się spodziewać, że uznałoby to powstanie za swoje, gdyby przywódcy ruchu narodowego zdecydowali się rozwiązać sprawę włościańską w oparciu o program nawet najbardziej postępowy, ale którego chłopstwo samo jeszcze wyłonić nie było zdolne, który byłby programem przyniesionym z zewnątrz – „pańskim”, a nie „chłopskim” w rozumieniu mas włościańskich. Zapewne dopiero w ćwierć wieku po ewentualnym uwłaszczeniu w 1831 roku chłopstwo polskie, przeorganizowane do głębi społecznie, wydawszy swą własną inteligencję i swych własnych przywódców własnego ruchu politycznego, narodowo świadome, byłoby zdolne do masowego poparcia celów ogólnonarodowych. W ćwierć wieku – ale nie w kilka tygodni po powstańczym dekrete...

Związek sprawy włościańskiej ze sprawą niepodległości jest raczej odwrotny niż zwykle się powszechnie przyjmować: chyba nie likwidacja pańszczyzny i powszechne uwłaszczenie były warunkiem powodzenia walki narodowyzwoleńczej w XIX wieku, ale właśnie odzyskanie niepodległości było warunkiem *sine qua non* wprowadzenia chłopstwa polskiego na drogę prawidłowego rozwoju społecznego, warunkiem likwidacji pańszczyźnianego wyzysku – gdyż tylko odzyskanie niepodległości mogło być zasadniczym, zgoła rewolucyjnym przełomem w procesie przygotowania burżuazyjno-demokratycznej rewolucji w Polsce. Przymusowy związek ziem polskich z dziewiętnastowieczną reakcyjną Rosją był bowiem najważniejszym czynnikiem konserwacji na tych ziemiach ustroju feudalnego i społeczeństwa stanowego. W niepodległym państwie polskim nic natomiast nie mogłoby zatrzymać szybkich i daleko idących procesów



ewolucji społecznej i ekonomicznej – i niewątpliwie rychłej i całkowitej rewolucji burżuazyjno-demokratycznej.

Ale w warunkach powstania opierać się można było tylko na tych siłach społecznych, które już przed wybuchem były gotowe do walki i narodowo uświadomione; było to miejskie „pospólstwo” – rzemieślnicy, sklepikarze, robotnicy, drobna burżuazja; była to drobna szlachta, zrewolucjonizowana inteligencja, wreszcie wojsko. Niech nikogo nie wprowadza w błąd patriotyzm i świadomość narodowa żołnierzy wojska polskiego w roku 1830, pochodzących przecież w przeważnym stopniu ze wsi, z klasy włościańskiej. Żołnierz zawodowej armii roku 1830, wychowany przez kilka lat w koszarach, ukształtowany przez atmosferę i stosunki dużego miasta, stykający się z plebejskim środowiskiem, niewiele miał wspólnego z chłopem pracującym na roli. Świadomość społeczno-polityczna żołnierza z czasów Królestwa Kongresowego różniła się znacznie od świadomości przygnięcionego pańszczyzną wieśniaka; kto inny był dla niego głównym wrogiem i ciemieżcą. I dlatego żołnierz mógł i musiał stanąć świadomie do walki; ale żadna siła nie mogła w ciągu paru miesięcy poruszyć do czynu jego ojca czy brata w szlacheckiej czy rządowej wsi. Jakże słuszna jest pod tym względem wizja Leona Kruczkowskiego, zawarta w jego niewolnym przecież od pomyłek, a jednak znakomitym dziele – *Kordianie i chamie...*

Ta zbyt długa może dygresja wydawała mi się jednak konieczna dla lepszego (choć z konieczności uproszczonego) wyjaśnienia zasadniczego momentu sprawy szans powstania listopadowego. Powstanie to miało niewątpliwie środki do osiągnięcia swych celów nawet bez niemożliwego do wywołania – realnie rzecz biorąc – masowego ruchu chłopskiego. Wystarczały po temu tradycyjne siły militarne, ekonomiczne i polityczne Królestwa Polskiego, którymi dysponował przez osiem miesięcy roku 1831 warszawski Rząd Narodowy.

#### 4.

Po wypadkach nocy 29 listopada wielki książę Konstanty trzy dni obozował spokojnie i bezpiecznie na Wierzbnie, oczekując rozwoju sytuacji w Warszawie. Wreszcie 2 grudnia wezwał Radę Administracyjną, by wydelegowała doń swoich przedstawicieli dla ostatecznego porozumienia. Rząd Królestwa skwapliwie wysłał na Wierzbno księcia



Adama Czartoryskiego i księcia Ksawerego Lubeckiego, dodając im dla uspokojenia opinii publicznej dwie popularne osobistości: posła Władysława Ostrowskiego i Joachima Lelewela; ten ostatni, uważany za ultraradykała, gwarantować miał ruchowi powstańczemu „uczciwość” pertraktacji. Misja była oczywiście w swoim założeniu pomysłem groteskowym, ponieważ Rada Administracyjna bynajmniej nie reprezentowała wzburzonego społeczeństwa i oczywiście nie mogła mieć żadnej pewności, że obłąkanie opinii publicznej, a zatem i jakiegokolwiek znaczenie Rady nie skończy się w ciągu paru następnych godzin, z drugiej zaś strony Konstanty nie reprezentował Rosji i żadnych zobowiązań w imieniu cara podejmować nie mógł i nie chciał.

Skoro tylko w Warszawie rozeszła się wieść, że zamiast ataku na wielkiego księcia Rada Administracyjna podjęła pertraktacje, uznając w imieniu narodu wszystkie dotychczasowe uprawnienia Konstantego, wybuchły w mieście rozruchy – bardziej efektowne w swym zewnętrznym rozmachu niż w rzeczy samej groźne dla polityki kapitulacji. Nadal wierzono w uczciwe patriotyczne intencje „popularnych osobistości”; uczestnictwo Lelewela zdawało się gwarantować, że do dalszych ustępstw nie dojdzie, więc tumult był przykry, ale czterem politykom w rzeczy samej niczym nie groził. Była to raczej demonstracja żądań społeczeństwa niż protest przeciwko pertraktacjom. Władysław Zamoyski, który poprzedzał karetę delegacji, znakomicie wykorzystał jednak te manifestacje dla wpojenia wielkiemu księciu przekonania (opartego zresztą na jak najśluszniejszym założeniu), iż wysłani na Wierzбно członkowie Rady reprezentują stanowisko bezwzględnej wierności dla tronu. „Życie ich było zagrożone – tłumaczył śpiesznie Konstantemu – większego dowodu posłuszeństwa dla tronu dać nie mogli”. Wielki książę przejął się tym bardzo i natychmiast wybiegł naprzeciw nadziejdżającej, bardzo wystraszonej delegacji.

Pięciogodzinne pertraktacje obracały się przede wszystkim wokół zagadnienia, czy książę pozostać ma w Warszawie (w jakim charakterze, nad tym nie zastanawiał się już główny rzecznik tej propozycji, Lubecki, poparty przez Czartoryskiego); dyskutowano również nad sprawą ewentualnej amnestii (kierunek pertraktacji zmierzał więc jak najwyraźniej ku przywróceniu w Królestwie władzy Mikołaja); wreszcie napomknięto o poszanowaniu konstytucji i „ziemiach zabranych”, powołując się na sławetne obietnice Aleksandra I. Ten ostatni punkt wywołał dość szczególną i charakterystyczną reakcję Konstantego; przyznał on skwapliwie, że Polacy dopominają się tych ziem słusznie, że od lat sam czynił w tej mierze starania (w pewnym

sensie powiedział prawdę, jako że walczył rzeczywiście o zachowanie w swych rękach jednolitej władzy nad Królestwem i wschodnimi obszarami dawnej Rzeczypospolitej), że wreszcie „gdyby był Polakiem, miałby się nie wiem za co, gdyby się nie domagał o polskie gubernie” – podobno wielki ksiązę użył nawet na określenie takiego kapitulacyjnego stanowiska ordynarnego francuskiego powiedzenia – „ale najmocniej stał przy tym, że nie może się o nie wstawiać ani brać na siebie pośrednictwa do króla”. W końcu obiecał, że z Królestwa się wycofa, a gdyby miał zamiar zaatakować Warszawę, uprzedzi o tym Radę Administracyjną na 48 godzin wcześniej<sup>28</sup>.

Jego Cesarzewiczowska Mość Wielki Książę – głosiła 2 grudnia odezwa rządu informująca o wynikach spotkania – obiecuje wstawić się do Najjaśniejszego Pana, ażeby w łaskawości swojej przeszłość raczył puścić w niepamięć...

Dobitniej nie można było wyrazić stanowiska lojalizmu i kapitulacji. Nazajutrz, 3 grudnia, Konstanty postanowił puścić do Warszawy resztę stojących u jego boku wojsk polskich i rozpocząć odwrót do Rosji. Przekształcona w Rząd Tymczasowy dawna Rada Administracyjna w ten sposób zwracała się do społeczeństwa w odezwie ułożonej przez księcia Adama:

...Wielki Książę, polegając na dobrej wierze narodu polskiego, iż w cofaniu się swoim żadnej od nas nie doświadczy przeszkody, oddaje nam sprawiedliwość. Do nas, do naszego honoru należy dowieść, iż Wielki Książę Cesarzewicz nie omylił się w mniemaniu swym. Wzywa Rząd wszystkich obywateli, aby oddalającemu się z wojskiem rosyjskim Wielkiemu Księciu Cesarzewiczowi wszelkie ułatwili trudności i pomoc wszelką nieśli...<sup>29</sup>.

Po napisaniu tej odezwy zacy prezes rządu zastanowił się zapewne i skreślił wreszcie ostatnie trzy słowa; w końcu drwiny z żądań społeczeństwa nie należało posuwać zbyt daleko. I tak przecież wielkim wysiłkiem udało się osiągnąć nadspodziewanie wiele: ocalić wielkiego księcia i cały jego korpus od nieuchronnej, zdawało się chwilami, zagłady...

<sup>28</sup> J. Lelewel, *Pamiętnik z roku 1830–31*, Warszawa 1924, s. 3–10; M. Mochnacki, *Powstanie narodu polskiego...*, dz. cyt., t. 2, s. 89–96.

<sup>29</sup> Autograf w AGAD, Władze Centralne 1830/31, wol. 65.

Troska o bezpieczeństwo i wygodę wielkiego księcia nie opuszczała rządu Królestwa jeszcze przez kilkanaście dni. 13 grudnia zdążający do Petersburga Lubecki dopędził Konstantego we Włodawie. Raz jeszcze próbował z nim pertraktacji, raz jeszcze cesarzewicz uchylił się od wszelkiej inicjatywy. Po dwóch dniach pobytu w towarzystwie wielkiego księcia Lubecki stwierdził jednak z niepokojem, że Konstanty znajduje się w wielkich kłopotach finansowych, że brak mu po prostu pieniędzy na niezbędne codzienne wydatki. Natychmiast więc zaproponował eks-władcy Królestwa wydatniejszą pomoc pieniężną w gotówce. Konstanty w zasadzie przychylił się do tej oferty, ale podkreślił, że przyjmie pieniądze jedynie w formie prywatnej pożyczki. Ponieważ czas naglił, a na transport z Warszawy trzeba byłoby zużyć kilka dni, Lubecki – w porozumieniu z księciem Adamem – postanowił zaciągnąć pożyczkę w pobliskich dobrach księcia Konstantego Czartoryskiego; na wezwanie ministra administrator Czartoryskich w Międzyrzeczu, niejaki Gogolewski, dostarczył z funduszów prywatnych sumę 3000 dukatów w złocie, którą Lubecki oddał natychmiast do dyspozycji wielkiemu księciu<sup>30</sup>.

Te starania Lubeckiego świadczą wymownie, że z osobą i wpływami Konstantego rząd Królestwa wiązał w grudniu 1830 roku ciągle jeszcze poważne nadzieje polityczne. Spodziewano się zapewnić sobie wdzięczność cesarzewicza, zobligować go, zmusić niejako do solidarności z Polakami. Jest to wszelako dodatkowym i bardzo ważnym dowodem zupełnej politycznej ślepoty „umiarkowanych ugodowców” z księciem Adamem Czartoryskim na czele. Od dawna znane były przecież intrygi petersburskie zmierzające do podkopania pozycji Konstantego właśnie pod pozorem jego zbytnej solidarności z Polską, intrygi, na które życzliwym okiem spoglądał sam Mikołaj I. Wypuszczony z Królestwa Konstanty stawał się zupełnym bankrutem politycznym, na którego nikt już w żadnym zakresie nie mógł liczyć. Oczywiście finansowanie cesarzewicza przez rząd Królestwa w początkach grudnia 1830 roku musiało być dodatkowym dowodem jego „zdrady” w oczach wrogów w Petersburgu, co więcej – również w oczach cara, zawsze nieufnego i niechętnego wobec brata, w którym widział potencjalnego konkurenta do tronu, mogącego przypomnieć swoje tak łatwo przed laty odstąpione prawa dynastyczne.

<sup>30</sup> S. Smolka, *W drodze do Petersburga*, „Przegląd Historyczny” 1906, t. 2, s. 241–243.

Z Włodawy pisał wielki książę do cara list pełen żalu, gniewu, lęku i troski. Starał się pomniejszyć w oczach Mikołaja rozmiar wydarzeń w Polsce, dowieść, że nie całe bynajmniej społeczeństwo Królestwa wystąpiło przeciwko jego panowaniu.

Oto więc dzieło szesnastu lat całkiem zostało zniszczone przez podoficerów, podchorążych, studentów i temu podobnych! Nie liczę w tym nikogo więcej, gdyż jest moim obowiązkiem zaświadczyć ci, iż właściciele dóbr, cała prowincja i wszyscy, którzy cokolwiek posiadają, są z tego powodu w rozpacz. Oficerowie i generałowie, podobnie jak i wierni żołnierze, nie mogli przeszkodzić rozwojowi ruchu, zmuszeni przez młodzież i podchorążych, którzy wszystkich uwiedli. Krótko mówiąc, sprawy są w najgorszym stanie i nie wiem, do czego z woli Boga w końcu dojdzie. Wszystkie środki nadzoru zostały unicestwione, mimo że wszystko się wykryło [...]. Tak więc my, Rosjanie, jesteśmy już na granicy, ale, Wielki Boże, w jakimż stanie! Prawie bosci, gdyż wszyscy zerwali się jak na alarm i w przekonaniu, że powrócą do koszar; zamiast tego odbywamy potworne marsze. Oficerowie wszystko postradali i posiadają jedynie to, co na sobie. [...] Mam serce rozdarte, nie sądziłem, że w wieku pięćdziesięciu jeden lat i po trzydziestu pięciu latach służby zakończę swą karierę w tak opłakany sposób<sup>31</sup>.

Niemniej jednak Konstanty wspominał nieśmiało, że polityka wobec Królestwa winna opierać się na pobłażaniu i łaskawości, że błędem byłoby zastosować brutalną przemoc. „Co do mnie, powtarzałem zawsze – pisał znowu do brata w końcu grudnia – że umiarkowanie i wspaniałomyślność uczynią więcej niż siła. Przebac mi, że ciągle wracam do tej sprawy, lecz jest to moje głębokie przekonanie”<sup>32</sup>. A w początkach stycznia dodał jeszcze: „Zwracam ku Bogu wszystkie swe błagania, aby trzon tej armii, której poświęciłem szesnaście lat swego życia, opamiętał się i wrócił na drogę honoru i powinności, uznając swój błąd, zanim podejmie się przeciw niej kroki gwałtowne...”<sup>33</sup>.

<sup>31</sup> Konstanty do Mikołaja 1/13 XII 1830, *Correspondance de l'empereur Nicolas I et du Grand Duc Constantin*, „Sbornik Imperatorskiego Russkogo Istoricskogo Obszczestwa”, t. 132, Petersburg 1911, s. 67–69.

<sup>32</sup> Konstanty do Mikołaja 10/22 XII 1830, tamże, s. 78.

<sup>33</sup> Konstanty do Mikołaja 26 XII 1830/7 I 1831, w: N.K. Szilder, *Impierator Nikołaj Pierwyj, jego żywót i carostwowanije*, t. 2, Petersburg 1903, s. 473.

Na listy te cesarzewicz otrzymał od Mikołaja odpowiedź znamiennej, w której treść i sens warto głębiej wniknąć.

Jeśli spośród dwóch narodów i dwóch tronów – pisał car – jeden musi zginąć – czyż mogę się wahać choćby chwilę? Czy sam byś się wahał? Sytuacja moja jest ciężka, odpowiedzialność straszna, ale sumienie niczego mi wobec Polaków nie wyrzuca i zapewniam cię, że nigdy mi niczego wyrzucać nie będzie, gdyż swoje obowiązki wobec nich wypełnię aż do ostateczności. Nie na próżno składałem przysięgę i nigdy od niej nie odszedłem; niech więc odpowiedzialność za straszliwe skutki tego wydarzenia, jeśli już nie można ich uniknąć, spadnie w całości na tych, którzy tu zawinili<sup>34</sup>.

A w parę tygodni później, rozważając z okazji Nowego Roku nadzieje na przyszłość, Mikołaj stwierdził:

Chciałbym widzieć cię spokojnie usadowionego w twym Belwedrze, a wszystko przywrócone do porządku, lecz ileż trzeba dokończyć, zanim się do tego dojdzie! Który spośród dwóch narodów ma zginąć – gdyż wydaje się, że zginąć jeden musi – Rosja czy Polska? Zdecyduj sam!<sup>35</sup>.

Ostatnie zdania car podkreślił wyraźnie w swym rękopisie. A nie była to jedynie pełna rozdrażnienia afektacja despoty; w publicystyce rosyjskiej 1831 roku motyw ten pojawiać miał się wielokrotnie. Wieść o powstaniu w Warszawie przyjęta została w Petersburgu i Moskwie jako zasadnicze wyzwanie rzucone przez liberalną Europę „wielkiej i świętej Rusi”, jako groźba zawieszona nad imperium, jako śmiertelne niebezpieczeństwo dla całego dzieła Iwana III, Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Katarzyny II. Stwierdzając, że w walce, którą rozpoczęło warszawskie powstanie w nocy 29 listopada, musi zginąć jeden z dwóch narodów, naród polski lub naród rosyjski, że nie ma żadnego innego lub pośredniego wyjścia z sytuacji, Mikołaj rzucił hasło, które pochwycić miała prawie cała ówczesna rosyjska opinia publiczna, kierowana przez reakcyjną publicystykę, i które w 1831 roku wstrząsnąć miało Rosją. Z polskiego punktu widzenia stanowisko takie było zupełnym nonsensem; nikomu w Polsce do głowy przyjść nie mogło, by ewentualne zwycięstwo powstania,

<sup>34</sup> Mikołaj do Konstantego 8/20 XII 1830, tamże, s. 473.

<sup>35</sup> Mikołaj do Konstantego 3/15 I 1831, tamże, s. 475.

nawet najbardziej radykalne, nawet przesuujące polskie granice tam, skąd usunął je rok 1772, mogło zagrozić bytowi narodu rosyjskiego czy choćby imperialnej potędze Rosji, by mogło ująć cokolwiek z międzynarodowego znaczenia i mocarstwowej pozycji imperium Romanowów. Wojna musiała być walką na śmierć i życie, ale tylko z polskiego punktu widzenia, gdyż jedynie Polacy ryzykowali w tej wojnie swoje narodowe istnienie. Jakim przykładem megalomanii narodowej byłoby przekonanie o zagładzie Rosji w wypadku zwycięstwa polskiego powstania, gdyby przekonanie to zrodziło się w Polsce! A jednak ogarnęło ono Rosję w roku 1831; nad Rosją powiało grozą i lękiem, dzwon na trwogę zaczął bić głośniej nawet niż w pamiętnym roku 1812, gdy na Rosję ciągnęły siły połowy Europy...

Do sprawy tej powrócimy jeszcze, gdyż jest to po stronie rosyjskiej najważniejszy i najciekawszy moment sytuacji roku 1831. Zresztą kwestia ta dopiero wiosną miała poruszyć w pełni opinię publiczną Petersburga i Moskwy. Ale po raz pierwszy dylemat sformułowany został już w grudniu 1830 roku, i to przez czynnik najmiarodajniejszy, przez samego monarchę, o porozumieniu z którym, o którego łasce i przebaczeniu marzyli nieszczęśni ugodowcy w Warszawie, w rojeniach swoich piastujący wizję nieco rozszerzonego i ulepszonego Królestwa Polskiego – gdy w rzeczy samej po równi pochyłej stacali się wraz z całym krajem ku zupełnej klęsce, gdy wojska rosyjskie maszerowały już w kierunku Warszawy.

## 5.

Wieczorem dnia 7 grudnia Mikołaj otrzymał pierwszą wiadomość, że „Warszawa stała się teatrem krwawych scen”. Cesarz wezwał natychmiast szefa policji Benkendorfa i dał mu do przeczytania raport Konstantego. „Jednocześnie, nie tracąc ani minuty, zdecydował się wydać wszystkie konieczne rozkazy. Pierwszy korpus, pod dowództwem generała Pahlena, otrzymał rozkaz posunięcia się ku granicom Królestwa, a baronowi Rosenowi, dowódcy Korpusu Litewskiego, polecono wziąć ten kierunek marszu, który wskaże cesarzewicz”<sup>36</sup>.

<sup>36</sup> *Impierator Nikołaj I w 1830–31 gg. Iz zapisok grafa A.Ch. Benkendorfa, „Ruskaja Starina” R. XXVII, 1896, nr 10, s. 80.*

Nazajutrz rano w Petersburgu powtarzano już wszędzie pogłoski o powstaniu w Warszawie, rosły wyraźnie wojenne nastroje. Cesarz pojawił się osobiście na musztrze pułku gwardii w wielkim krytym maneżu pałacu Michajłowskiego.

Pod koniec ćwiczeń – opowiada naoczny świadek wydarzeń, dyplomata francuski Bourgoing – tego dnia nadzwyczaj skróconych, Jego Cesarska Mość, zamiast udać się w kierunku bramy, zwrócił się ku szeregowi oficerów. Wszyscy obecni natychmiast pojęli, że ten niezwykły ruch oznacza, iż coś poważnego musiało się stać. Cesarz Mikołaj podniesionym głosem wezwał oficerów, by otoczyli go kołem. Jego zwykły orszak pozostał na uboczu. Cesarz zaczął opowiadać o wydarzeniach w Warszawie, najpierw tonem spokojnym, lecz stopniowo się zapalając...

Zwracając się do żołnierzy, oświadczył: „Wy, moja gwardia, pójdziecie nauczyć zdrajców rozumu, przywrócić porządek i pohańbioną cześć Rosji. Wiem, że we wszystkich okolicznościach mogę na was polegać!”

Jeszcze nie skończył – relacjonuje Bourgoing – gdy okrzyki entuzjazmu i oddania, okrzyki zemsty rozległy się ze wszystkich stron. Oficerowie stłoczyli się wokół jego konia, wyciągali doń ręce; wszyscy domagali się wymarszu, by ukarać zbuntowanych. W tym samym czasie batalion służbowy po przedefilowaniu przed cesarzem wyciągnął się, jak zazwyczaj, w zwartej kolumnie po drugiej stronie maneżu; żołnierze słyszeli z daleka podniesiony głos cesarza i okrzyki tłumu oficerów; batalion ten, nawet nie wiedząc, o co chodzi, odpowiedział podobnym zawołaniem. Żołnierze przypuszczali zapewne, że cesarz ogłosił właśnie marsz, który miał rozpocząć ową wojnę przeciwko Francji, wojnę, o której codziennie tyle im opowiadano...<sup>37</sup>.

Posel angielski Heytesbury również zauważył ten niezwykły zapal: „Przemówienie cara do żołnierzy wywołało zachwyty i patriotyczny entuzjazm, gotowość wylania ostatniej kropli krwi. Żołnierze całowali szaty cara”. W kilka dni później ten sam obserwator, notując w swych

<sup>37</sup> P. de Bourgoing, *Souvenirs d'histoire contemporaine. Episodes militaires et politiques*, Paris 1864, s. 536–537; *Impierator Nikołaj I w 1830–31 gg...*, dz. cyt., s. 81.



donesieniach do Londynu nastroje opinii publicznej Petersburga, stwierdził: „Narodowa nienawiść między dwoma krajami [Rosją i Polską] jest tak wielka, iż należy się obawiać wojny eksterminacyjnej”<sup>38</sup>.

Wojna ta wszelako nie była dla strony rosyjskiej przedsięwzięciem tak prostym i łatwym, jak wyobrażał sobie generał Chłopiczki. Aczkolwiek car zdecydował się natychmiast na działania bezwzględne wszystkimi siłami, którymi mógł dysponować, to jednak mobilizacja armii rosyjskiej przeciwko Polsce musiała zająć sporo czasu. Trudności powiększała niepewność co do postawy Korpusu Litewskiego.

Było widoczne dla każdego bystrego obserwatora – streszczał Bourgoing wyniki swych dyskusji z przedstawicielami rosyjskich sfer wojskowych i dyplomatycznych w Petersburgu – że cały korpus litewski, cała ludność i wszystkie zasoby tego kraju należeć będą do tej spośród dwóch stron walczących, która uprzedzi swego przeciwnika, dając impuls do powstania albo, z drugiej strony, powstrzymując ten wybuch przez właściwe posunięcia. [...] Korpus litewski, który cesarz Aleksander uformował i rekrutował w prowincjach dawnej Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego, był niesłychanie podatny na hasła narodowe, jakie rzucono pod sztandarami z białym orłem. Korpus ten, liczący znacznie więcej oficerów i żołnierzy litewskich lub polskich z Wołynia i Podola niż rzeczywistych Rosjan, przyłączyłby się zapewne do sprawy rewolucji, gdyby armia powstańcza, zamiast pozostawać w Warszawie, ruszyła bezzwłocznie na Wilno. Lecz gdy minął pierwszy moment zamieszania, brak dowództwa, odpowiedniego planu, wystarczającej determinacji spowodował utratę tej pierwszej i ważnej okazji sukcesu. Cesarz Mikołaj okazał więcej ducha, wysłał tam natychmiast trzystu oficerów gwardii; krok ten zachował dlań cały korpus litewski złożony z ponad trzydziestu tysięcy ludzi. Na wojnie ten, kto korzysta z chwili, może być pewny przewagi<sup>39</sup>.

Obiektywne trudności mobilizacyjne i obawy, że w Warszawie zdecydują się jednak na działania ofensywne, były powodem

<sup>38</sup> B. Dembiński, *Powstanie listopadowe w oświeceniu posłów angielskich*, w: *Pamiętnik V Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Warszawie*, t. 2, Lwów 1931, s. 271–272.

<sup>39</sup> P. de Bourgoing, *Souvenirs d'histoire contemporaine...*, dz. cyt., s. 538–539.